Cena 5 zł.

ZDRÓJ

KULTURA * ŻYCIE * SZTUKA

ROK I. LUBLIN, 1 LISTOPADA 1945 R. Nr 5

GILBERT KEITH CHESTERTON

PRAWDA O POLSCE

Teraz, gdy z Zachodu napływają smutne i trwożliwe wieści, że przeciętna opinia angielska znów nas nie rozumie, że znów skłonniejsza jest przyznawać słuszność „poczciwym i niewinnie prześladowanym" Niemcom, niż „złośliwym i mściwym Polakom" — myśl nasza biegnie z tęsknotą do szczerego, głęboko nas pojmującego przyjaciela, jakim był znakomity pisarz Gilbert Keith Chesterton, ten prawdziwy „ambasador ducha Polski" wśród Anglików. Czemuż on już dziś nie żyje! Jak wiele zdziałałby dziś dla nas!... I zdaje nam się słuszne, by przytoczyć, w przekładzie z angielskiego, garść urywków z przemówienia, które Chesterton wygłosił w londyńskim Essex Hall w roku 1929, po swym powrocie z podróży do Polski. Jak zawsze u tego pisarza, głęboka i wnikliwa myśl przeplata się doskonałymi żartami. Oto więc te urywki.

Ani przez chwilę nie utrzymuję, abym był zdolny powiedzieć, czym jest Polska. Dziś wieczór obecni są tu na tym wzniesieniu niektórzy najwybitniejsi synowie Polski, jak np. profesor Roman Dyboski, który nie tylko wie wszystko o literaturze polskiej, lecz ponadto wie o literaturze angielskiej więcej ode mnie i — pozwólcie mi to dorzucić — więcej niż każdy z państwa: a żaden z tych świetnych Polaków, sądzę, nie miałby moralnej odwagi odpowiedzieć na pytanie: „Czym jest Polska?" Wielce byłbym stropiony, gdyby któryś świetn[illegible] zagadnął mnie, czym jest Anglia. To podobno Arystoteles orzekł, że nie można określić rzeczy żywej — a już najmniej ze wszystkiego takiej nazwy żywej rzeczy jak Polska, która jest jedną z rzeczy najbardziej żywych na świecie; albowiem nic nie może być tak żywe, jak to co zostało wskrzeszone z martwych...

Trzeba wiedzieć, że Polska i Anglia są bardzo podobne... omal nie powiedziałem: zwłaszcza Polska. Aliści jest bardzo znaczna liczba podobieństw, których się przenigdy nie odkryje, o ile się samemu do Polski nie pojedzie. Na przykład polskie pojęcie punktualności ogromnie przypomina pojęcie angielskie. Znaczy to, iż Polacy nie uważają, jak Prusacy, iż należy się stawić równo z uderzeniem dziewiątej. Z drugiej zaś strony nie uważają tego, jak Rosjanie, za rzecz obojętną, jeśli się stawisz dopiero w następnym tygodniu. Posiadają oni ten rodzaj „dziesięciominutowego" wdzięku, który cechuje angielskie poczucie przyzwoitości.

Polski stosunek do tysiąca rzeczy — do koni, psów, do zwykłych związków życiowych — nierównie bardziej przypomina postawę angielską niż powiedzmy niemiecką albo francuską czy w ogóle latyńską. Mnóstwo jest rzeczy, w których Polacy i Anglicy są prawie dokładnie podobni — na przykład w swym pojmowaniu dżentelmena oraz, mógłbym dodać, w swym pojmowaniu żartu...

Polska nie była tym, co pospolicie zwiemy „narodem pomniejszym". Wojna przeciw niej — to nie była niesprawiedliwa wojna przeciw jakiemuś koczowniczemu plemieniu. Była to próba zniszczenia czegoś takiego jak Francja lub czegoś takiego jak Anglia — i to zniszczenia doszczętnego.

Gdy podchodzę bliżej do współczesnych szczegółów dziejowych, natrafiam na różne trudności. Główną trudnością jest angielska ignorancja; a już trudnością największą ze wszystkich, którą bez wątpienia podzielają, z nader nielicznymi wyjątkami, wszyscy Anglicy, jest nadzwyczaj groźna próba wymówienia nazwisk polskich. Nieraz wydawało mi się dobrym pomysłem, gdybyśmy mogli zawrzeć układ lub traktat z Polakami ku popieraniu ich żądań, pod warunkiem, że uproszczą dla nas imiona, jakie mamy wymawiać. Kiedyś nawet naszkicowałem sobie tabliczkę, poddającą, by K o ś c i u s z k o zwał się C o o p e r czy coś w tym rodzaju.

Przechodzę do następnego punktu swych wywodów stwierdzeniem, że ten cywilizowany naród — a podkreślam: c y w i l i z o w a n y, bo o to mi chodzi główne — że Polska była określnie skrystalizowanym narodem, będącym w poważnym niebezpieczeństwie stania się mocarstwem imperialnym. Naród ten wszedł do historii z bardzo szczególnym rodzajem korzyści czy doświadczenia, którego, sądzę, nie docenia się naogół: mianowicie, że we wszystkich stadiach historii europejskiej istniała szybka komunikacja pomiędzy samymże ośrodkiem cywilizacji a tą odległą forpocztą na wschodzie.

O dziejach Polski mówić nie będę, a to dla dwu wystarczających powodów: 1° dlatego, że ich nie znam i 2° że profesor Dyboski je zna...

Pamiętajcie, że było to wspaniałe królestwo założone wpośród ludów nie będących narodami. Druga rzecz do zapamiętania — to, że systematycznie docierały tam najświeższe wiadomości z Europy. Już w średniowieczu działo się tak do pewnego stopnia. Byli tam Franciszkanie i Dominikanie; lecz zaznacza się to o wiele wyraźniej około czasu Odrodzenia. Pewna dama włoska, członkini rodu, który między innymi patronował Leonardowi da Vinci, została królową polską, a jej wpływ na królów humanistycznych roztoczył się po całym kraju; bezpośredni skutek renesansu. Renesans przyszedł do wielu krajów jako świt. Tu był niemal błyskawicą. Przyszedł jak piorun z rąk rzymskiego Jowisza.

W następnym wieku działo się wcale podobnie. Wiem, że się w tym kryje wiele punktów spornych, które w tej sali mogą doprowadzić do zamachu morderczego, a nawet do walk na tej estradzie. Ale usiłuję mówić bezstronnie i prawdziwym wydaje mi się twierdzenie, że Reformacja, że nowe idee XVI-go stulecia dotarły do Polski. Wzbudziły tam wielkie zaciekawienie i podniecenie. Każdemu wolno utrzymywać, że lepiejby się stało, gdyby te idee zwyciężyły tam. Jezuici podjęli tam przeciwnatarcie, byli wojskiem rychło zgromadzonym ku odzyskaniu utraconych pozycyj. Szli poprzez Polskę niby zastęp maszerujący do oblężonego grodu; i choć wiele jest ludzi, ubolewających nad natychmiastową reakcją katolicką w Polsce (w tym wielu patriotycznych Polaków), to przecież ta akcja, rozpościerająca się z centrum Europy na Polskę, potwierdza moje wywody. Polacy wiedzieli o wszystkim, co się w Europie działo. Pamiętajcie, że Jezuici zawiązali się wśród Hiszpanów i że ruszyli z Hiszpanii; a oto pomknęli w ten sposób poprzez całą Europę do tej odległej krainy. Gdy po wieku XVII nastąpił XVIII — wszak wszyscy wiecie, czym był wiek XVIII: powrotem do rodzaju jednostkowego nacjonalizmu, a wygłaszaniem wielu szczytnych prawd, jak np. o dostojeństwie ludzkości całej, — tak się zdarzyło, że Polska, zamiast być barbarzyńskim księstwem, o całe światy odległym nawet od francuskiej rewolucji, posiadała niezwłocznie wiadomości o rewolucji amerykańskiej. Wśród walczących o ideał demokratyczny Stanów Zjednoczonych był wielki mąż, którego imię starałem się wymówić i po raz wtóry nie podejmę lekkomyślnej tej próby, ale którego nazwę jak umiem i potrafię — Kościuszką. Ten polski mąż, genialny, wielki przyjaciel Jeffersona, ożywiony nowym poczuciem braterstwa ludzkiego, walczył za wolność w Stanach Zjednoczonych, za czym powrócił prosto do Polski, porwał za sobą chłopów i zdobył sobie imię, które nie zaginie. Więc i tym razem Polska posiadała ów prąd elektryczny: zostawała w bezpośrednim związku z najdonioślejszymi wydarzeniami w świecie...

Istnieje wielka sprzeczność zdań na korzyść i na niekorzyść Wielkiej Wojny (1914—1918). Ja nigdy nie zmieniłem swego zdania o Wielkiej Wojnie — i dlatego to zapewne poglądy moje nie zyskały sobie poklasku u prasy ani u polityków, albowiem w dzisiejszej Anglii człowiek, powtarzający wciąż to samo, uchodzi za fantastyka-nowinkarza. Otóż powiadam: jeżeli Wielka Wojna nie dokonała niczego więcej jak tylko nawrotu do zdrowych zmysłów przez wskrzeszenie Polski, to i tak śmierć milionów nie poszła na marne, ile że Europa bez Polski byłaby Europą bez ośrodkowej, cywilizowanej, naturalnej istotności, która być musiała, a której utrata musiała zakłócić równowagę powszechną.

I tu jest kres mojej wycieczki w dziedzinie polityki.

Co do ogólnego życia społecznego w Polsce, zainteresują was być może różne sprawy. Jedna z tych spraw, to że Polacy posiadają wszelkie cechy narodu wysoce kulturalnego. Wiem, że istnieją najosobliwsze zdania co do tego, czym jest Polska. Gdy zapowiedziałem wyjazd do Polski, niektórzy z mych przyjaciół sądzili, że się wybieram na biegun północny. Niejeden pytał: „Co będziesz tam jadł?" Prawdopodobnie przypuszczano, że przejdę na dietę złożoną z tranu wielorybiego. Tymczasem kuchnia polska jest nie tylko bez żadnego porównania lepsza od angielskiej (to jeszcze niewielki komplement), ale na ogół lepsza od francuskiej i włoskiej. Jest to chyba najlepsza kuchnia w świecie (kuchni Wysp Ludożerczych nie kosztowałem, a jest ona, sądzę, zupełnie swoista). Co się więc tyczy tego drobnego szczegółu technicznego, ktokolwiek udaje się do Polski, może być pewien, że znajdzie tam w tym zakresie stan rzeczy o wiele doskonalszy niż w całej reszcie Europy.

Druga sprawa. Mówiono mi: „Czyś pewien, że się tam dostaniesz?" — mając na myśli położenie Warszawy, którą niejeden umiejscawiał w Rosji. Już nieraz opowiadałem, jak to pewien wykształcony Anglik przed rokiem czy dwoma zaadresował list dosłownie w taki sposób: „Warszawa. Rosja" i głęboką sprawia mi uciechę, że polski adresat odpowiedział, adresując swój list na: „Londyn. Niemcy". Mniemano również, że ktokolwiek wędruje po Polsce, musi wędrować w wagonach cielęcych albo też deptać, podpierając się kosturem. System kolejowy w Polsce jest nadzwyczaj dobry. Możemy wyliczyć mnóstwo tych składników maszynerii społecznej, zwykłych wskaźników technicznych, na których podstawie orzekamy, czy dane społeczeństwo jest czy nie jest cywilizowane, a przekonamy się, że na mocy tych wskaźników Polska stoi bardzo wysoko pośród narodów europejskich. Ja niewiele sobie czynię z tych wskaźników. Poczytuję, że daleko jest lepiej podróżować cielęcym wagonem i mieć czas do myślenia, niż jeździć pociągiem amerykańskim i nigdy nie mieć na to czasu. Nie przywiązuję wagi przeolbrzymiej do kuchni. Dużo upatruję słuszności w naszej gadce średniowiecznej, opiewającej, że kto ma piwa pod dostatkiem, a do tego i kawał mięsa, powinien się czuć szczęśliwym. Mówię po prostu o miernikach złożonego społeczeństwa dzisiejszego i twierdzę, że miernikom tym Polska z pewnością czyni zadość.

Przy tym należy sobie uświadomić, że ten stopień skrzętności i doskonałości osiągnięto wbrew najbardziej zdumiewającym przeszkodom, jakim który bądź naród stawiał czoło w czasach nowożytnych. Żaden naród nie wycierpiał w tej wojnie tyle co Polacy. Wciąż mówią o niesprawiedliwym podboju Belgii; lecz koniec końców — Belgię podbito jeden raz. Polcy cierpieli nieustannie przez całą wojnę...

Jeżeli nie połączycie się ze mną w pozdrowieniu i podziwie dla imienia polskiego, to niezdolny jestem pojąć waszego braku entuzjazmu dla rzeczy wielkich i poważnie się obawiam o przyszłość waszej własnej ojczyzny.

Przełożył
Czesław Jastrzębiec-Kozłowski

STANISŁAW PAGACZEWSKI

MANIFEST

Dudnią siły podziemne,
rosną mięśnie stalowe —
pracą mózgów wytrwałych
wstaje dziś Polska nowa.

W noce długie, bezsenne
i zamknięte drutami
twarze chudną i bledną,
pęcznieje serca dynamit.

Ognia pod Oświęcimy!
Nożyc na druty kolczaste!
Biegnijcie po zakurzone chorągwie,
zadyszani, na strych.

Bijcie w bębny armatnie
palcie ogniem po twarzach —
idzie dziś nowa Polska
od skrwawionego ołtarza.

Szalejcie bruki tłumami
i dajcie żer latarniom —
oto łopoce historia
jak sztandary nad armią!

R. 1941

LIRYKA ROSYJSKA

w tłumaczeniu KAZIMIERZA ANDRZEJA JAWORSKIEGO

Znam miecza szczęk

Znam miecza szczęk i walki kocham chrzest,
od wczesnych lat bitewnej chwalca sławy,
i bliska krew wojennej mi zabawy,
o śmierci myśl mej duszy miła jest.

Kto w kwiecie lat wolności służąc stale
o śmierci mrok nie otarł się bez drżeń,
ten tylko zna radości nikły cień
i nie wart jest kobiecych pieszczot wcale.

ALEKSANDER PUSZKIN

* * *

Bez pani rzec chcę pani słowo,
przy pani milczeć tylko muszę:
pani się patrzy tak surowo,
że każdy wyraz w sobie duszę.

Cóż począć? Ze schylonym czołem
zaczęte zdanie zaraz utnę.
Wszystko to byłoby wesołe,
gdyby nie było takie smutne.

MICHAŁ LERMONTOW

* * *

Ludzie śpią, najdroższa, pójdziem do ogrodu;
ludzie śpią, li gwiazdy patrzą na nas z wschodu,
a i te nie widzą nas wśród bzów okiści
i nie słyszą — słyszy tylko ptak wśród liści,
a i ten nie słyszy zasłuchany w pieśni,
chyba ręka tylko, serce w klatki cieśni:
słyszy serce, jakie szczęście dziś w nim gości,
ile z tobą tu przynieślišmy radości,
no i ręka, słysząc to, co serce mieści,
mówi mu, że druga ściska ją i pieści,
że od tego ognia ona również płonie,
że się ramię do ramienia ufnie kłoni.

AFANASIJ FIET

Brulion charakteru

Z mieszczaństwa piwnic i z podziemi
niejedna młodość z trudem rośnie wzwyż.
Najpierw pijaństwo i mięśni ćwiczenie,
a wreszcie zjawia się kobieta też.

I jak rogatki strugał dziecka nożyk,
namiętność struga ją i nagli lot,
psią wierność rada u nóg miłej złożyć
albo pazurem swym ciachnie jak kot.

Charakter dalej rośnie nie tak ściśle
i biuru błądzeń informacji brak —
zawód oświeci życie w swym zamyśle,
specjalność martwa upadnie na szlak.

Lub wojna wystrzał podaruje bystry,
granatem zniesie nagle głowy pół
i rudy mózg indywidualisty
posoką trawę zabryzga i dół.

Nie rozwiązane błędy i nawyki,
omyłek zwykłych pośliźnięcia wciąż.
A lata śpieszą, poufały krzyk ich
rewizją grozi, bo już wyrósł mąż.

I jak dziewczęta drażnią: Spróbuj ty co,
weź mnie, w róg zegnij albo nawet złam.
Świat się starzeje. Charakter — klucznica
idzie i młodość już zamyka nam.

Jej nie odemkniesz żadnym kluczem już,
żeby przewietrzyć ją gorączką gołą,
lecz tutaj dość, pomyśli kto — a nuż,
że smutek jest w stuleciu tym wesołym.

NIKOŁAJ TICHONOW

Zapach słońca

Zapach słońca? Co za bzdury!
To nie bzdury.
W słońcu dźwięki, aromaty
i marzenia i łąk kwiaty —
wszystko zlane w zgodny chór,
zeplecione w jeden wzór.

Pachnie słońca krąg kwiatami
i młodymi zawilcami,
przebudzonej wiosny tchem,
i sosnowym, smolnym pniem,

konwalijnym czułym płatkiem,
oszalałym wiosną kwiatkiem,
co zwycięsko okrył błoń,
chłonąc ostrą ziemi woń.

Słońce świeci złotym dźwiękiem
i zielonych liści pękiem,
w nim ptaszęcych odgłos ech,
młodych twarzy zdrowy śmiech.

Tak więc mów upartej rzeszy —
niech nie grzeszy:
Nie ujrzycie rajskich wrót,
w słońcu zapach jest i miód,
co nas tylko słodem cieszy,
ptak go czuje z chmur pieleszy.

KONSTANTIN BALMONT

Melodia norweska

1

Ja i cień —
tęsknoty czarny kot,
cały dzień
na stary patrzym płot.
W kielich bije
pociechy złoty zdrój.
(O, Maryjo,
miły skarbie mój...)

2

Statków sznur
przez mgły ponury zwał,
morza chór
przyprawia mnie o szał.
Skrzypiec żmijo,
nie dosyć ci już? — stój!
(O, Maryjo,
miły skarbie mój...)

3

Jakże znieść
w bezsennych oczach sól?
Jakże nieść
za sobą taki ból?
Wicher wyje,
z otchłiskiem wszczyna bój!
(O, Maryjo,
miły skarbie mój...)

4

Zniknął grog.
Mleczarki ciszę tną.
W trumny mrok
jak dziewczę skrzypce pchnął.
Czas przemija,
latarnik przywdział strój.
(O, Maryjo,
miły skarbie mój.)

5

Dzień jak rok,
jak czarnej plotki krzyk.
Ja i kot
i więcej z nami nikt.
Weź za szyję,
ty jedna choć się wczuj,
O, Maryjo,
miły skarbie mój!

ILIA SELWINSKIJ

* * *

Wieczór ściągnął brwi czarne ponuro.
Rwą się konie przed domem
[w popłochu.
Czym nie, wczoraj swą młodość
[przehulał?
Czy nie wczoraj przestałem cię kochac?

Trójko koni, nie parskaj! Zbyteczne!
Nasze życie przemknęło bez śladu.
Może łóżko w szpitalu bezpieczne
da mi jutro zbawienną swą radę.

Może jutro inaczej zupełnie
uleczony już wyjdę na wieki
słuchać pieśni, co gaje napełnią,
tych, co cieszą zdrowego człowieka.

I te mroczne zapomnę już siły,
co na moją przysięgły się zgubę.
Tylko ciebie, jedynej i miłej,
nie zapomnę przenigdy, o luba!

Kto wie — inną pokochać też mogę
lecz i ona się temu nie oprze,
bym o tobie jej mówił, ma droga,
którą-m kiedyś nazywał najdroższą.

Jej opowiem o życiu wspaniałym,
naszym życiu, co nigdy nie było.
Głowo, głowo! Szalona ma pało!
Patrz, nad jakąś mnie przepaść rzuciła?!

SIERGIEJ JESIENIN

* * *

Kiedy wstępując w świat niezmierny
na próżno szukasz jedni w krąg
lub kiedy w kąt spoglądasz ciemny,
czy tam nie zabrzmi śmierci gong;

gdy płoniesz namiętności dreszczem
lub gdy w chorobie musisz lec, —
o, wierz mi, wtedy możesz jeszcze,
żeś jest szczęśliwy, dumnie rzec!

Lecz gdy twej duszy nic nie trąca,
gdyś głuchy na miłości zew,
gdy twe marzenie plami krew
niemłoda już i nie kipiąca, —

wtedy nad tobą zawisł mrok:
śmierć nie możliwa bez udręki,
a życie, które nie zna męki,
nie idzie, tylko zwalnia krok.

ALEKSANDR BŁOK

* * *

O łzy człowiecze, o łzy człowiecze!
cieką od wczesnych do późnych lat,
cieką nieznane i niewidzialne,
niewyczerpalne, nieobliczalne,
cieką jak struga deszczowa ciecze
jesienią głuchą w ponury świat.

FIEODOR TIUTCZEW

* * *

Już się uśmiechać zapomniałam
i mroźny wiatr mi usta męczy,
nadzieja jedna odleciała,
pieśń jedna za to będzie więcej.
I piosnką ową mimo woli
bezduszny drwiący tłum ubawię,
bo duszę nieskończenie boli,
gdy miłość się w milczeniu trawi.

ANNA ACHMATOWA

Serce Szopena

Przemówienie Premiera E. B. Osóbki-Morawskiego

Zadaniem narodu, nawet w najtrudniejszych godzinach jego dziejów, jest nie tylko pokonywanie trudności dnia powszednniego, lecz i tworzenie najwyższych, nie przemijających wartości Sztuki, Nauki i Myśli Społecznej.

Myliłby się ktoś sądząc, że każda z tych wielkich idei kroczy drogą osobną. Największe zdobycze nauki martwe są, lub stają się wręcz szkodliwe dla ludzkości, jeśli twórcom ich i ich użytkownikom nie przyświeca myśl społeczna, mająca na celu nie żądzę władzy i zysków, a pożytek społeczeństw, braterstwo i szczęście narodów.

Podobnie i w dziedzinie sztuki. Jeżeli dzieło artysty nie ma swego źródła w przeżyciach i odczuwaniach całego narodu, jeżeli ma służyć jedynie garstce wybranych i nie staje się przeżyciem całego narodu — martwe jest, bo nie ma w sobie siły upowszechnienia. Ale i myśl społeczna nie uskrzydlona przez wielkość Nauki i Sztuki nie znajdzie w sobie samej dostatecznych sił, aby się utrwalić na wieczność, aby porwać i przeniknąć masy ludzkie, których podniesieniu ma służyć.

Pieśń towarzyszy wszelkim poczynaniom człowieka od kolebki aż do grobu. Pieśń o człowieku trwa poza jego grób. W pieśni zawarta jest nieśmiertelna siła narodu.

„Płomień przygryzie malowane dzieje,
Skarby mieczowi spustoszą złodzieje —
Pieśń ujdzie cało..."

mówi Mickiewicz.

Rozumiemy teraz, dlaczego hitlerowski barbarzyńca przytłumić chciał szopenowskie dźwięki w sercach narodu polskiego.

Czuł wróg, że w dniach naszej największej tragedii, naszej największej klęski, a w dniach jego najwyższego triumfu — bezsilny jest wobec wielkości narodu polskiego, bezsilny jest wobec poloneza As-dur.

Czuł, że dźwięk muzyki Szopena, przechodzącej polonezem przez Europę i świat cały, nie jest przytłumiony przez potworność kanonady bomb i pocisków, nie zostanie przytłumiony przez powódź zbrodni i barbarzyństwa, jaką rozpętał faszyzm. Że nie da się zlikwidować najwyższego świadectwa wielkości narodu polskiego, jakim jest rozbrzmiewająca na całym świecie muzyka Szopena.

Źródłem wielkości sztuki Fryderyka Szopena są jej wartości społeczne. Według Norwida Szopen podniósł nasze natchnienie ludowe do potęgi ogarniającej całą ludzkość. Wyrażając się dzisiejszym stylem — Szopen upowszechnił polską pieśń ludową. Warto przypomnieć to tym, których zadaniem jest upowszechnienie kultury w naszym kraju. Trzeba, aby masy ludowe Polski pojęły wartość społeczną szopenowskiej muzyki z ludową i rewolucyjną pieśnią i myślą.

Dzień powrotu serca Fryderyka Szopena do Warszawy jest zadokumentowaniem wagi zdrowia duchowego naszego narodu. Po wielkich klęskach i stratach ledwo zdążyliśmy podeprzeć zburzone ściany naszych domostw i pokryć jako tako zniszczone dachy — już kierujemy nasze pragnienia, nasze tęsknoty do najwyższych wartości duchowych. Dziś mija 9 miesięcy od uwolnienia stolicy przez naszych żołnierzy wespół z bratnimi żołnierzami Armii Czerwonej, a już na gruzach Warszawy zakwitła czerwona róża serca Fryderyka Szopena.

Naszym poczynaniom w tworzeniu nowych wartości i nowych form społecznych towarzyszy jednocześnie niespotykany dotąd pęd do kultury wśród szerokich mas robotniczych i chłopskich. Wyrazem tego jest i dzisiejsza uroczystość, w której wzięły udział szerokie masy ludowe, organizacje polityczne, społeczne, młodzieżowe i oświatowe. Szopen był i jest symbolem duszy narodu polskiego, Szopen jest najpotężniejszym akordem wielkości tej duszy. Po wiek wieków rozbrzmiewać będzie imię Polski przez muzykę szopenowską po wszystkich zakątkach świata. Będzie najwyższym świadectwem najsubtelniejszych wartości ducha polskiego, polskiej pieśni.

Nikły ton prześlicznej, szopenowskiej nuty mazurskiej pochwycony przez Szopena lat temu przeszło sto, tu pod Warszawą, rozbrzmiewał szeroko po całym świecie. W naszych dniach ton ten stanie się udziałem tych, wśród których się narodził: udziałem ludu polskiego. Dzisiejsza uroczystość zapoczątkuje dni, w których Szopen stanie się bez przenośni własnością całego narodu, całego społeczeństwa.

Dzień dzisiejszy jest dniem hołdu dla Serca Fryderyka Szopena. Jest też zadokumentowaniem, że nasze dni, dni zwycięskiej demokracji zwiastują, że w najtrudniejszych warunkach dążymy do zrealizowania pragnień mickiewiczowskich, iżby sztuka zbłądziła pod strzechy. Demokracja zrealizuje to gorące pragnienie wieszcza. Sztuka zamieszka pod strzechami.

W ten sposób damy wyraz siły duchowej, zawartej w narodzie polskim i w jego nieprzemijających wartościach — sztuce. Naród polski, który wydał Fryderyka Szopena, który zawsze dokumentował i pielęgnował najpiękniejsze tradycje ducha ludzkiego — wolności własnej i innych narodów, który o tę wolność przelał morze krwi serdecznej milionów najlepszych swych synów — niech pozna najwspanialszą kartę swych dziejów, niech pozna głębię i wartość swego ducha.

Obok nas mieszka naród, który poprzez wiele wieków swych dziejów, poprzez barbarzyństwa, zbrodnie i zwyrodnialstwo swych dni ostatnich udowodnił, że nie jest godny pieśni Beethovena.

Kultura materialna i techniczna tego narodu była jedną z najpotężniejszych w świecie. A jednak brak kultury duchowej doprowadził ten naród poprzez zbrodnie do nieszczęścia i pohańbienia.

Pomni potęgi kultury duchowej pielęgnujmy ją i rozpowszechniajmy w szerokich rzeszach narodu, twórzmy nowe dobra kulturalne dla chwały i potęgi Polski odrodzonej.

JERZY KOLASIŃSKI

Krew krwi naszej

(Istota wielkości muzyka-poety)

Zaledwie dnieje... a wierzby-zalotnice już rozplatają swe kosy nad zmarszczonym zwierciadłem obudzonej wody. Uśmiechają się fale do starych babulek. Toć dzionek cały... nic, tylko wypatrują z bezzębnym uśmiechem swej urody. Zasię, gdy słonko już dobrze przygrzeje stare kości a wiatr rozśpiewi trawy tonem mazowieckim — rozkołyszą się wsparte pod boki i gdyby nie zbolałe nogi, to może obertasa by ucięły.

Już i skowronek wplątał tryl wymyślny w poranne tony łąki, aż wrota skrzypnęły uciesznie, a pomruk z obory niby basetla jął wtórować do znanych dobrze śpiewek.

Wiatr - grajek rozśpiewił wokół siebie wszelakichzurtystów. Nawet i pług nie wytrzymał... zgrzytnął w takt o kamień, a siwek zarżał ledwie-że falszywie, lecz umilkł zaraz zawstydzony, bo mu się nie widziało tak bratać z tą hołotą, co nic ino śpiewki a śpiewki dzionek cały, a i o zachodzie nawet, rosą gardła odświeżywszy, jeszcze poważne sosny do melodii tęskliwych namawia... tak niby do snu.

Wtedy i grajek, u figury kląkłszy, do snu szumiącym zbożom modlitwy na skrzypkach wygrywa, z całą naturą w jedno zgrany.

Już i księżyc wzeszedł... pola się pospiły, a chałupy pochylone troską dnia bożego jeszcze słuchają a słuchają... echa.

Co pamiętliwszy to i owo echo w duszy zachowa, a nazajutrz wyśpiewa wszystkie piosenki natury i jeszcze swoje wymysły dorzuci, bywa że upiększy człowieczym uczuciem lub wysmutni żalem bezbrzeżnym, że nie być mu polnym dzwonkiem - muzykantem czy skowronkiem - śpiewakiem.

Spytać go, skąd mu te smutne piosenki— nie umie odpowiedzieć. Tak mu się jakoś zōbocyło, ale skądciś pewnikiem słyszoł. „Już wim — matula śpiewali... albo może i nie... to chyba Wojtek, ten bez oka..." Wieś schodzisz — a nie dojdziesz, kto pierwszy usłyszał.

* * *

Gdy Szopen pisał swe mazurki, znał już je dobrze, pewnikiem znał, tylko musiał je sobie dokładnie przypomnieć. Pisał więc, przekreślał, znów pisał. aż utrwalił wiernie to, co w naturze wzorem mu było. Z „niczego" nie tworzył. To co pisał miał już zapisane dawno w sercu, jeszcze w kolebce. Przepływały mu przez serce te melodie i harmonie równo z tętnem matczynym, ożywiane później troską rodzicielską i rozsądną opieką pedagogiczną nad talentem niebywałym.

Gdy sława jego już po świecie się rozeszła, zazdrośnicy z „wyższej" rasy ułożyli sobie doszukiwać krwi nie polskiej w najlepszym synu naszej ojczyzny. Lecz próżne były ich zachody. Zawsze przekreślała wszelkie argumenty treść i forma jego muzyki. Był dziecięciem polskim, echem trosk i radości ludu naszego. Usiłowano następnie zrobić z niego kosmopolitę, twierdząc, że muzyka jego zawiera elementy artystyczne wspólne wszystkim rasom, wszystkim narodom. Były również obawy, biegunowo odległe, że zatraci się w swojskim, narodowym charakterze. Podkreślić należy, że kompozytorów - kosmopolitów właściwie nie ma. Każdy kompozytor, o ile jest oryginalny, jest narodowy. a narodowość swą zaznacza charakterystycznymi właśnie cechami muzyki ludowej swej ojczyzny. Tu więc Szopen stworzył „szkołę", której naśladowcami — może i mimo woli zgodnie z duchem epoki romantyzmu — stał się Grieg w Norwegii, Czajkowski w Rosji, Dworzak w Czechach, Sibelius w Finlandii. Tej „szkole" i Wagner się nie oparł, choć odmienny stylem, lecz upodobniony nacjonalizacją tendencji.

* * *

Straszliwy huragan wojny, którą przeżywaliśmy wczoraj, huragan, co miotał pyłkiem człowieczym po całym świecie — sprawił, że i serce Szopena w tej męczeńskiej tułaczce narodu musiało też zmienić, choć nie na długo, miejsce swego doczesnego spoczynku.

W uzasadnionej obawie, by święty skarb narodowy nie zatracił się w płomieniach i gruzach tragicznych dni stolicy w 44 roku lub nie stał się przedmiotem naukowych badań „nadludzi" XX-go wieku — osoby zacne a odważne odmurowały filar lewej nawy Kościoła Św. Krzyża w nieszczęsnej stolicy i skrzynkę dębową z relikwią narodową przechowały z pietyzmem w Milanówku pod Warszawą.

17-go października r. b. serce najlepszego Polaka wróciło do stolicy. Uroczystości związane z jego powrotem święciła nie tylko Warszawa, lecz i cały naród jako symboliczny triumf wiecznego życia sztuki polskiej.

Hołd oddawany dzisiaj nieśmiertelnemu geniuszowi naszej Ojczyzny nie wypływa tylko z wyrozumowanych wartości, jakie znajdujemy na drodze analitycznych dociekań naukowych. Hołd nasz płynie z przepełnionych miłością serc dla najzacniejszego syna, w którego żyłach tętniła krew krwi naszej, którego tęsknota za strzechą rodzinną była silniejsza nad śmierć... Toć tęsknota sprawiła, że serce artysty — tułacza wróciło do nas już wtedy, gdy przeczysta dusza błąkała się u gwieździstych bram nieba.

Jak drogi jest nam Szopen — my raczej czujemy niż rozumiemy. Tak — jak matka wie, że kocha swe dziecię, choć może nie zdaje sobie sprawy, dlaczego. Bo zew krwi nie zna rozumowania, nie zna logiki dociekliwości.

Kilkadziesiąt obszernych tomów naukowców całego świata nie wykryło do dziś tajemnicy geniuszu Szopena, tej cudownej a przedziwnej łaski, jaką Stwórca obdarza raz na sto lat synów wybranych. Najbogatsze dzieła nie powiedzą nam silniej tego, co my czujemy o wielkości Szopena. Ni drobiazgowe zestawienia z melodyką ludu polskiego, ni źródłowe badania biograficzne, ni analiza psychologiczna jego uczuć narodowych — nie wyrazi silniej nad siłę serc naszych tej miłości, tej czci, jaką żywimy dla najgenialniejszego dotąd w świecie muzyka — poety. Poety, olśniewającego przez blisko już 100 lat całą cywilizowaną ludzkość przedziwem piękna muzycznego.

Dziś, oddając hołd Szopenowi, musimy powiedzieć sobie mocno: on nasz, nasz na wieki. Nie wydrze nam jego serca już nikt — nigdy.

Wielki ludu żywotnością, którą twórczość jego jest przepojona, wielki bohaterstwem narodu tylekroć ukrzyżowanego — dawać będzie po wiek wieków świadectwo prawdzie o Tej „co nie zginęła".

JAN NAGRABIECKI

PAMIĘCI ŻOŁNIERZA

Chmur bezwład jak zoraną ciężarną grudę
zachłannie uczepiły krzyże palcami ramion.
Mogilny wykop spazmem zatkał gardziel
i wiatr ognisty pędzi w żałobie
na skrzydłach ułudy...

W takt niosą Twój epilog na rękach koledzy,
Twój kondukt idzie powoli lasem
i bęben strzela drewnianą pieśnią,
niebo dogasa.

Żołnierzu, bądź cichy grudą człowieczą,
nieś lasom broń i ładunek,
pożarem sławy i werblem nocy wzniecaj
dźwięk Westerplatte, Kutna, Warszawy i Nissy,
chorągwią łąki uwity cmentarz,
na który upadły pocałunki irysów:
litery grobów — barwny elementarz.

Miały sen kształty dymów,
na kartach pól pisałeś kulami uparty.

Żołnierzu cichy godziną leśną,
gałązką kwitnący o wiośnie...
Pajęczy liść snu
wyśpiewa legendę o Tobie
na sośnie...

Gra dzwon... i szkielet głodny
chce podwoić myśli wytężeniem pacierza,
zatknięty grudą ziemi czarnej,
podobny
do ciszy na warcie żołnierza!

JÓZEF NIKODEM KŁOSOWSKI

WYGNAŃCY EWY

(Fragment z powieści p. t. »Jarzmo«)

Padał śnieg. Orchowiec tonął w bieli. Chaty zagrzebały się po czubki płotów w jasnym, miękkim puchu, płynącym bez przerwy z szarego, zamazanego nieba. Gałęzie wierzb, stojących w dole, przy dworskiej zasypanej drodze, gięły się pod ciężarem srebrnej okiści. Wzgórza, na których rozłożyła się wieś, buchały kłębami błękitnego dymu, bijącego z kominów. W chałupach, jak zwykle przy sobocie, pieczono chleb i placki. Czasem skrzypnęły tu i ówdzie drzwi i ktoś biegł co sił do budynków lub do spółdzieni, stojącej na samym dole, obok „starej szkoły".

W sklepie było gwarno. Zebrało się tutaj sporo chłopów, by pogwarzyć społem o tym i owym, a zwłaszcza o wojnie. Jedni trzymali w zziębniętych palcach „Głos lubelski", drudzy czytali „Kurier", a inni jeszcze opowiadali o listach, nadesłanych przez jeńców i robotników z Niemiec („Antek jest zdrów i mocny, a Aniela coraz silniejsza!") Czasem zjawiał się ktoś po trochę sody, kostkę sztucznej herbaty, sznurowadła, parę papierosów, proszek z „Kogutkiem" lub „kropli walerianowych la mamy za 50 gr". Nie wiele zresztą towarów było w sklepie. Parę fajansowych garnków, dwie skrzynie gwoździ, szklane paciorki (o które się nikt nie pytał!), nieco kawy, zeszytów i parę pudełek bibułki. To nie to, co kiedyś, przed wojną, kiedy to orchowiecka spółdzielnia robiła ogromne obroty, a półki gięły się pod ciężarem najrozmaitszych towarów!

Ucichło się, bo Szymaniaków Franek, zwany „Frankiem zzo losku" chłopak prosty jak świeca, zgrabny i rumiany, o jasnych, bujnych włosach i niebieskich oczach, za którym uganiały się wszystkie orchowieckie dziewuchy, zaczął czytać głośno komunikaty z placu boju: „Berlin 15.I.42 r. Główna kwatera wodza donosi: ciężkie walki obronne w rejonie Staraja Russa trwają. Nieprzyjaciel atakuje większymi siłami, przy poparciu huraganowego ognia artylerii i licznych czołgów. Jednak wszystkie ataki rozbijają się o bohaterską postawę żołnierza niemieckiego. W zaciętych walkach, jakie rozegrały się dnia 12.I, zniszczyliśmy 16 czołgów, 25 dział, a w walkach powietrznych nieprzyjaciel stracił 47 samolotów. Do niewoli dostało się 650 jeńców, w tym 8 wyższych oficerów!".

— Łżą juchy! — krzyknął Stasiek „z murowanki", puszczając dym z olbrzymiego papierosa. — Wciąż tylko biją, wciąż zwyciężają, a już czwarty miesiąc stoją w miejscu albo „prostują front!".

— W zimie Sowiety górą, ale z wiosną popędzą ich Niemcy, jak stado! — wtrącił cicho Jasiek Cukruś (bardzo lubił cukier!), chłop młody jeszcze, przystojny lecz wiecznie chory, blady i nieśmiały.

— Głupstwa pleciesz! — oburzył się Franek zzo losku, dumny ze swego wykształcenia (przed wojną skończył szkołę rolnicza). — Na wiosnę skończą się niemieckie zwycięstwa. Zobaczycie!

— Ale do wiosny niemało się naszej krwi poleje! — westchnął ciężko stary Pieter Szymaniak, stryj Franka, zwany „kłusownikiem". — Więzienia już nie mogą pomieścić ofior. Podobno w Gorzkowie mają być aresztowania! W gminie wszystkie urzędniki siedzą w kożuchach, żeby noc łatwiej uciec w pole. Wójt zaś pije na umór. „Raz kozie śmierć!" gada i żłopie piwsko, a w przerwie coś z żydami śwargoce...

— Słyszeliśta, co się wczora stało w Baranicy? — zapytał Olech Jemioła, gospodarz rudy i piegowaty, szeroko znany ze swej gadatliwości.

— Coś niecoś słyszałem, ale mów. Może wiesz lepi! — rzekł Stach Kowalik, odkładając na bok niedokończoną gazetę.

— Znocie czornego Wawrzaka z Baranicy?

— Tego, co uciekł z Niemiec?

— Tego.

— Znomy!

— Przed Gody czorny Wawrzek ucik z niewoli — zaczął Olech, marszcząc pocieszne piegowate czoło. — Głodny i naszczęt obdarty zjawił się u swoich w Baranicy. Krył się, jak zwirz przed ludźmi, a boł się tak strasznie, że nawet w najtęższe mrozy nie sypioł w chałupie. Nocował w stajnich, oborach. Ale małoż to szpiegów się kręci? Ktoś doł znać do Żółkiewki i nie wiedzieć nawet kiedy dom obskoczyły żandary. „Mosz papiry?" pyto jeden, „Mom" odpowiedział Wawrzek. „Pokoż!" „Są tam, w drugiej izbie". „To przynieś!" „Chłop poszedł przodem, ale zanim Niemce połapały się, wpod do komory, wybił okno i skoczył w śnieg. Żandary za nim. Już był za węgłem, gdy do gardła mu skoczył pies. Wawrzek kopnął go, psiakrew, aż zajęczało. Pies doł kozła i runął na ziemię. Wtenczas żandary dalejże strzylać! Wawrzek skulił się i tak lecąc chyłka, dostał się jakoś do lasu, co jest zaraz za chałupą. Tam czekoł, co będzie dali. A te tymczasem, odmieńce, podpaliły mu budynki. I tak zginęło wszystko. Nawet kuń i krowa. Oj, Jezu Chryste, co też ten chłop przecierpioł!...

— I co mu teraz po życiu? — zapytał Jasiek Cukruś.

— Zawdy jeszcze dycho. A to dziś je nojważniejsze! — odparł stary Pieter Szymaniak.

— Niby tak — przytaknął ktoś z zebranych.

Do sklepu weszło dwoje dzieci.

— Pół kilo soli!

— Kawy zo złotówkę!

Z dymu wyłoniła się okrągła, czerstwa i uśmiechnięta twarz sklepowego „Józia". Był to starszy bombardier z wojny polsko-niemieckiej, chłopiec barczysty, mocny, a nade wszystko rozkochany w żołnierce. Często w przystępie dobrego humoru (zwłaszcza po paru „głębszych") opowiadał kolegom o swych wyczynach na froncie.

„Otrzymawszy rozkaz kapitulacji — mówił — czułem, że ziemia zapada się pode mną. Co, do jasnej cholery, ja mam oddać Szwabom działo, moje drogie, kochane działo? Za nic w świecie! Prędzej ich piorun trzaśnie!" W nocy zagwoździłem armatę i zaszywszy się w gąszcz leśny, padłem na kolana, by pożegnać się z bronią, z mym ślicznym jak malowanie bezcennym karabinem. Całując zamek, rozpłakałem się jak baba. To ci dopiero była chwila! Niech to piorun trzaśnie!" Mając sporo wolnego czasu, Józio Kalinowski zaczął uczyć się. Zacięcie studiował Marksa, pisma Wincentego Witosa, „Młode pokolenie chłopów" Chałasińskiego oraz prace R. Dmowskiego. Najchętniej jednak czytał powieści. I to przeważnie sentymentalne. Ten twardy żołnierz o barach tura wylał niejedną łzę nad „Trędowatą" i „Dzikuską"!...

Za drzwiami rozległ się tupot nóg. Ktoś otrzepywał śnieg z butów. Po chwili weszła do sklepu krępa, młoda dziewczyna. Mogła mieć lat szesnaście, a może siedemnaście, chociaż w matczynej chustce wyglądała na gosposię. Zaczerwienione od mrozu policzki pałały ogniem. Pociągnęła nieśmiało nosem, wodząc siwymi, dużymi oczyma po zebranych. Spostrzegłszy zaś Franka zzo losu, zmieszała się jeszcze bardziej. „Dzień dobry!" rzuciła głośno. „Dzień dobry, Jagna!" odpowiedzieli chórem. Buchnął śmiech.

— Sześć papierosów! — cisnęła w stronę lady, za którą uśmiechał się zawsze ugrzeczniony Józio.

— Dla kogóż to? — zapytał miękko.

— La tata!...

Zapłaciła i skrywszy papierosy pod chustę, skierowała się do wyjścia. Za nią pobiegły głosy chłopców.

— Zostań z nami! — zawołał blady Jasiek Cukruś.

— A po co? — zaśmiała się.

— Będzie weselej!...

— A jakże!...

Wyleciała jak wicher na biały świat i dopiero mróz zagasił płomień, bijący z twarzy. Już przeszło tydzień nie widziała Franka. I tylko po to, by go ujrzeć, przyszła do spółdzielni. Papierosy były jej w ogóle niepotrzebne! Brnąc przez zaspy, pod górę, gubiła je jeden po drugim.

— Wygnańcy jadą! — wrzasnął Kowalików Bronek, berbeć najwyżej trzynastoletni, wpadając do spółdzielni.

W sklepie powstał gwar. Wszyscy naraz cisnęli się do drzwi, by jak najlepiej zobaczyć wysiedlonych, po których jeszcze z rana wysłano trzy stójki do Gorzkowa. Nawet zawsze obowiązkowy Józio Kalinowski opuścił swój „fort" (tak nazywał miejsce za bufetem!) i przekręciwszy klucz w zamku, pociągnął wraz z innymi do „starej szkoły", gdzie mieli zamieszkać przybyli.

Prawie jednocześnie zatrzymały się przed długim drewnianym domem, krytym blachą, pierwsze sanie, na których siedziało pięcioro ludzi, okręconych w różnego rodzaju szmaty. Z tyłu dzwoniły wiadra, a po bokach wzdymały się ogromne toboły, powiązane grubym sznurem. Z kolorowych łachów wyglądały zmizerowane, zmęczone twarze, o rysach ściętych przez mróz i cierpienie. Za tymi nadjechali zaraz inni. Trzy rodziny: czterech mężczyzn, pięć kobiet i troje małych dzieci.

W oka mgnieniu rozeszła się po wsi wieść o przybyciu wygnańców spod Płocka. Cały Orchowiec wyległ na powitanie wysiedlonych. Każda z bab coś niosła pod zapaską. „Lo nich, lo tych broci, sponiewieranych i wyzutych z ojcowizny przez Niemca!". W „starej szkole" podawano już herbatę z chlebem, skądś wzięła się prawdziwa kiełbasa, a dzieci karmiono gorącym mlekiem z bułką. Gospodynie wraz z nauczycielką lokowały poszczególne rodziny, dzieląc drewniane, nieheblowane prycze, słomę, naczynia kuchenne, przydzielone przez Polski Komitet Opiekuńczy, oraz kąty. W jednej, obszernej zresztą, izbie znalazło pomieszczenie 17 osób!

W żelaznym piecu płonął ogień, przy którym grzano zgrabiałe nogi i ręce. Pokój napełnił się po samie brzegi wrzawą dzieci, płaczem, krzykiem, swarami, kaszlem i gwarem rozmów. Powietrze było przesycone swędem, dymem oraz fetorem parujących pieluch.

W tłoku i zamęcie ściskały się raz po raz chłopskie, twarde dłonie. Orchowieccy gospodarze krzepili w ten sposób przybyłych tułaczy. A oczy, zasnute niejednokrotnie łzami, mówiły: „Ne bójta się, bracia, skoro my z wami! Teraz już nas nic nie złamie. Nic nie zmoże! Razem żyć i razem ginąć będziemy!"...

Każdą z rodzin wysiedlonych otaczała zwarta ciżba ciekawych bab, chłopów i dzieci, łowiących drobne, nawet najdrobniejsze szczegóły dotyczące wojny oraz życia wygnańców. W pobliżu żelaznego pieca, buchającego żarem, rozłożyła się na słomie wraz z całym swym dobytkiem (1 wiadro i trzy toboły!) rodzina Siewaków, złożona z pięciu osób. Pokrzepiali się gorącą kartoflanką z chlebem. Jedli łapczywie, siorpiąc i wzdychając raz po raz. Wyglądali zaś, w przeciwieństwie do reszty wygnańców, dostatnio, jakby ostatnie przejścia nie zostawiły na nich (z wyjątkiem ojca) najmniejszego śladu. Na krągłej, rumianej twarzy matki grał uśmiech, a w piwnych, mądrych oczach palił się blask życia. Między jednym a drugim łykiem strawy strofowała dwoje małych dzieci, rozlewających nieostrożnie zupę, albo gadała coś półgębkiem do starszej córki, dziewczyny ładnej, miłej lecz bardzo wstydliwej. „Prawda Kasiu, co?" pytała wesoło. „Prawda, mamo!" odpowiadała zagadnięta. „Adaś, uważaj, bo dostaniesz w skórę!" irytowała się, spostrzegłszy, że pięcioletni syn znów popamił kartoflanką ubranie. „A ty mi się nie śmiej, Magda, bo ze mną żartów nie ma!". Tylko stary Paweł Siewak, chłop o zmiętej, pooranej twarzy, jadł w ciszy i skupieniu. Jego szare, wypełzłe oczy spoglądały w przestrzeń i jakby przeniknąwszy ściany izby, szły tam, gdzie wyrywało się smutne, zbolałe serce, do rodzinnej dalekiej Wierzbicy!...

— Dawno wygnały was Niemce? — zapytała z gromady Staśka Olechowa, baba krępa i śmiała, znana w całym Orchowcu z tęgiego pyska, z którą wielu wolałoby nie zadzierać!

— Zaraz po Nowym Roku! — odparła zarumieniona Siewakowa, połykając ostatni kęs świeżego razowca. Przeżegnała się.

— Gadajcie!...

— Spaliśmy twardym snem, kiedy przed dom zajechały sanie z policją. Zaczęli walić w szyby. „Sąd ostateczny czy co?" pomyślałam sobie. Prędko zapaliłam lampkę i wdziawszy na się łach jakiś, odsunęłam zasuwkę. Chałupa cała wypełniła się po brzegi kupą Niemców. Spojrzałam na pierwszego i serce zamarło mi w piersiach. Na czapce z czarnym otokiem miał trupią głowę!

„Jezu Nazareński, ratuj! Chyba już wybiła dla nas ostatnia godzina!" Ale i na innych łbach połyskiwały czaszki! Trzęsłam się jak liść. Tylko mój Paweł stał przed nimi bez strachu. „Siewak?" — zapytał ten pierwszy. „Tak" — mruknął mój stary. „Jesteście wysiedleni! Za godzinę nie ma być tu po was ani śladu! Możecie zabrać z sobą tylko odzież. Wszelkie przedmioty złote podlegają konfiskacie! Oddajcie ślubne obrączki!" — rozkazał. „A niech-że się pan zmiłuje nad nami, błagałam, i zostawi nam chociaż tę jedyną pamiątkę!" „Tekla, oddaj!" — krzyknął mi nad uchem Paweł, rzucając na stół pierścionek. „Gdzie macie złoto?" — zaczął drugi. „To co miałem, oddałem" — rzekł mój chłop. „Poszukamy, a jeżeli kłamiesz, chamie, zastrzelimy cię jak bydlę!" „Szukajcie!" Jak głodne psy rzucili się do szaf, kufrów i łóżek, wyrzucając słomę, pościel i odzież. Zbudzone dzieci poczęły płakać. „Pakuj łachy, Tekla!" huknął Paweł. „Poczekaj, mówię, padnę przed nimi na kolana, poproszę o litość!" „Ja nie chcę ich psiej litości!" „Cichoj, bo cię zabiją!" „Pakuj, mówię!" Wtenczas zaczęłam z Kasią robić toboły. „Jeszcze dwadzieścia pięć minut!" — burknął Niemiec. „Jezu mój, a toż ja jeszcze nic a nic nie zrobiłam! Kasiu, zbieraj bieliznę i odzież!" „Piętnaście minut!" Czuję, że nogi gną się pode mną, a z rąk leci wszystko. „Paweł, pomóż!" proszę. Ale on jakby nie słyszał. Oparł się o szafę i ćmi sobie papierosa. A patrzy przy tym tak dziwnie, jak nigdy. Spojrzałam po domu, po oknach (gdzie stały moje śliczne kwiaty), meblach, stołkach, kilimach i ścianach, zawieszonych obrazami Świętych Pańskich. To moja krwawica! Zdawało mi się, że zanim stąd wyjdę, serce pęknie mi z żalu! „Pięć minut!" W tej chwili ze złotych ram wyjrzała szczerniała twarz Matki Częstochowskiej. „Panno Częstochowska, szepnęłam, pójdź z nami!" I chciałam zdjąć obraz ze ściany, gdy ktoś porwał mię mocno za ramię. „Precz stąd!" usłyszałam nad sobą głos Niemca. Padłam przed nim na kolana. „Tylko ten jeden obraz, panie!" — żebrałam. „Precz!" — huknął i kopnął mię z całej siły, aż zatoczyłam się pod próg. Tymczasem Paweł z Kasią wynieśli już przed dom toboły. Zajechały sanie. „Odjazd!" — wrzasnął Niemiec. „Muszę jeszcze pożegnać się z chudobą!" Wpadłam do obory. „Kwiatula" spojrzała na mnie i ryknęła żałośnie. Porwałam ją za szyję.

Przerwała na chwilę swoje opowiadanie, gdyż łzy dławiły ją w gardle, nie pozwalając wyrzec słowa. Jej żywe, niedawno jeszcze roześmiane oczy zgasły i powlokły się mgłą smutku.

— Szalała kurzawa — ciągnęła dalej — kiedy ruszyliśmy z miejsca. Świecił księżyc, wychylając się raz po raz zza ciężkich chmur. Po paru godzinach jazdy stanęliśmy na placu zbornym w powiatowym miasteczku, gdzie mieliśmy przejść jeszcze jedną rewizję. Wpędzono nas za kolczaste druty, na mróz i śnieżycę. Po rowach stały karabiny maszynowe, a dokoła uzbrojone straże, bijące bez miłosierdzia. Sto rodzin zbiegło się w kupę, jak stado owiec, by raźniej przeciwstawić się burzy. Grzaliśmy się wzajemnie własnym oddechem, bo mróz brał coraz tęższy, prawdziwie styczniowy. Serca nasze krwawiły się, słysząc płacz dzieci, głodnych i zziębniętych. Po godzinie byliśmy oblepieni śniegiem i lodem. Jakaś matka dopadła do drutów i tuląc do piersi maleństwo, krzyknęła: „Za co nasz męczycie, Judasze, zabijcie lepiej, zamordujcie, zbrodniarze!" „O Jezu mój!" — wyła druga. — Czy już nie zlitujesz się nad nami?" Z gromady odpowiedział jej jęk kobiet i krzyk dzieci. Mój Adaś dostał gorączki. Ułożyłam go na tobołach, ale on wciąż: „do domu mamo, ja chcę do domu!" woład. „My już nie mamy domu!" wołam. „A w Wierzbicy?" pyta dalej. „Zapomnij synu!". Zbliżało się południe, kiedy zjawił się jakiś oficer z trupią głową na czapce. „Rewizja!" rzucił rozkaz. Kobiety zapędzono do baraków, a chłopi zostali na pla-

cu. Stałam w rzędzie z trojgiem dzieci, czekając na swą kolej. Policjantki w wojskowych mundurach, z rewolwerami w ręku, rzuciły się na nas z krzykiem: „Krok w tył! Ręce do góry!" Teraz zaczęło się rewidowanie tłumoków. Przetrząsano każdą sztukę bielizny, odpruwano podszewkę, rozwłócząc odzież po śniegu. Potem zajęto się rozbieraniem kobiet. Jedna z policjantek zerwała z mojej sąsiadki, szwaczki z Wierzbicy, jesienną chustkę, potem kazała jej zdjąć watowane palto oraz bluzkę. Wreszcie sięgnęła po spódnicę, ale nie stwierdziwszy nic podejrzanego, wzięła się do przeglądania sporego kufra. Pogrzebawszy trochę wśród łachmanów, wydobyła ze środka piękne, duże lustro w srebrnej oprawie (z którego moja sąsiadka była bardzo dumna) i uśmiechając się szyderczo, strzaskała je o ziemię!... W tym samym czasie inna z rewidujących, gruba, ruda Niemka, zdzierała z nóżek pięcioletniej dziewczynki żółte, nowiutkie trzewiki. „Prędzej zdechnie!" — mówiła do zrozpaczonej matki. Trzecia znów tłukła butelki z sokiem. „To dla chorego dziecka!" — prosiła jakaś zmizerowana kobiecina z niemowlęciem na ręku. „Soków jej się zachciało! Jeszcze co!" szydziła. Szarzało, kiedy skończyła się rewizja. Wielu naszych omdlało z głodu i zimna. Przybył oddział policji. Otwarły się wrota. „Na stację, marsz!" wrzasnął jakiś Prusak w żelaznym hełmie. Ruszyliśmy kupą. Wtedy ktoś zaczął: „Serdeczna Matko, Opiekunko ludzi..." „Niech cię płacz sierot do litości zbudzi" poderwał tłum. „Milcześ!" — ryknął żandarm. Ale nikt nie usłuchał. Wprost przeciwnie, z paruset piersi wydarła się nagle smutna, łzami i bólem nabrzmiała pieśń: „Wygnańcy Ewy do Ciebie wołamy, zlituj się zlituj, niech się nie tułamy!"...

Siewakowa umilkła, gdyż za gardło ścisnął ją żal. W izbie rozległ się płacz i głośne pociąganie nosem. „Jezu Chryste, zmiłuj się nad nami!" westchnęła Olechowa. „Oj moje biedne sieroty!" szepnęła stara Szymaniakowa, żona Pietra.

Do gromady przystąpiła nauczycielka. Pochyliła się nad Siewakową, prosząc ją o przyjęcie opieki nad domem wysiedlonych. „Była pani prezeską koła gospodyń wiejskich w Wierzbicy, to i tu proszę dalej prezesować!" rzekła do Pawłowej.

W gromadzie Orchowiaków jakoś raźniej i milej zrobiło się wygnańcom. Mieli już taki ciepły kąt, gorącą strawę, a nade wszystko współczucie braci, rozumiejących doskonale ich niedolę. Bo tylko chłop może zrozumieć chłopa, oderwanego od ojczystego zagonu! Trzeba bowiem samemu wyróść z ziemi, by pojąć tragedię samodzielnego gospodarza, skazanego na tułaczkę!...

Tylko rodzina Kapłonów siedziała w kącie pogrążona w głębokim smutku i żałobie. On, chłop jeszcze młody lecz przedwcześnie osiwiały, o małych, krótkowzrocznych oczach i grubych, pospolitych rysach twarzy, jadł łakomie podaną strawę, a zaspokoiwszy już pierwszy głód, drzemał. „Stasiek, śpisz?" pytała od czasu do czasu żona, a nie otrzymawszy żadnej odpowiedzi, przymykała ciężkie powieki, by lepiej dojrzeć w głębi własnego serca cienie dwojga zmarłych dzieci: Jasia i Cesi. Cesia, ładna trzyletnia dziewczynka, zachorowała w drodze na dyfteryt. Zgasła zaś nie wiadomo kiedy, a tejże nocy zginął pięciomiesięczny Janek. Skostniałe ciałka wyrzucili Niemcy przez okno wagonu na zaśnieżone, obce pola...

— Chorzyście, czy co? — zapytała Szymaniakowa, schylając się nad Agatą Kapłonową.

— Ni.

— To może głodni?

— Ni.

— Spocznijcie se trochę, boście sterani podróżą!

— Bóg zapłać.

Po izbie kręcił się Franek Szymaniak, zaglądając tu i ówdzie. Przyszedł tu z kolegami dla zwykłej ciekawości, a może i dlatego, że spodziewał się spotkać w tym miejscu Jagnę. A dawno z nią nie rozmawiał. Chyba z tydzień. Ujrzawszy ją przed chwilą w spółdzielni, zrozumiał, że przyszła nie po papierosy dla ojca, lecz do niego!... Zrobiło mu się jakoś przyjemnie, błogo na duszy... Zaczął przedzierać się przez ciżbę, by szepnąć Jagnie do ucha jakieś miłe, ciepłe słowo, by zajrzeć jej głęboko w oczy, a korzystając z tłoku, uścisnąć mocno za rękę. Niech wie, że jest mu bliska!

Jagna dostrzegła go z daleka. Zarumieniła się z radości, widząc, że podąża w jej stronę. Czekała nań z biciem serca. Nawet opowiadanie Siewakowej nie potrafiło jej zainteresować! Teraz był dla niej tylko on, Franek zzo łosku!...

Ale Franek tymczasem utknął w drodze. Do uszu jego doleciały przypadkiem słowa wysiedlonej, opisującej swą krzywdę. Przystanął na moment, lecz potem nie mógł już oderwać się z miejsca, przykuty opowieścią. Wpatrzył się w twarz Siewakowej, w twarz, która mówiła daleko więcej niż słowa, i słuchał jak urzeczony. Głos wygnanki palił go płomieniem. Czuł mękę tych sponiewieranych, wydziedziczonych ludzi, ludzi wyjętych spod prawa, których można było zabijać bezkarnie, strzelać, deptać, tłuc i mordować! I zrodził się w nim bunt przeciwko krzywdzicielom. Zaciął zęby, zacisnął pięści i stał tak blady, przejęty, łowiąc każde słowo opowiadającej. Słyszał bicie własnego serca, jak wtedy, kiedy na rozkaz dowódcy składał broń pod Kockiem. Wtenczas był podobnie wzruszony i przejęty wstydem!...

— Franuś! — obok niego rozległ się znienacka cichy, nieśmiały szept.

Odwrócił się niechętnie. Przy nim stała Jagna.

— Co, Jaguś?

— Chodźmy już! — prosiła.

— Dobrze.

Owionęło ich mroźne powietrze. W twarz zaciął śnieg. Szli w milczeniu w stronę dworskiego zagajnika. Ta część wsi, rozłożona na wyniosłym wzgórzu, nosiła nazwę „Załosku", kiedy o środku mówiło się jako o „Widniówce", a grupę domostw położonych w kotlinie ochrzczono mianem „Izbicy". Franek mieszkał „za łoskiem", gdzie wraz z matką i stryjem gospodarzył na piętnastu morgach dobrej, pszennej ziemi. Tam też kierował się i teraz.

— Ależ mróz! — odezwała się Jagna, chcąc przerwać milczenie.

— Siarczysty! — przytaknął Franek. Był chmurny i zasępiony. Szedł obok młodej, ładnej, zarumienionej dziewczyny, ale jakby nie wiedział o jej obecności. Brnął przez głęboki, nieujeżdżony śnieg, bez określonego celu, a serce miał wypełnione po brzegi smutkiem i goryczą.

— Co ci, Franuś?

— Nic.

— To czegoś taki smutny?

— Słyszałaś opowiadanie wysiedlonej?

— Trochę.

— Gryzie mię ich krzywda, już nie chłopska, ale polska krzywda, rozumiesz? Za każdym słowem zdawało mi się, że mi ktoś drzazgę wbija w serce. Zdeptali, sponiewierali nas doszczętnie!

W oczach dziewczyny zabłysły łzy.

— Czy rozumiesz mię teraz, Jaguś?

— Tak.

Pożegnali się przed domem Jagny, ukrytym w kępach drzew. Franek obejrzał się za siebie, by raz jeszcze rzucić okiem za oddalającą się. Brnęła wśród wysokich zasp, przez sad umączony śniegiem. Przez gałęzie przeświecał jej żółty, czarno-bramowany kożuch i jak płomień migotała na białym tle czerwona, wełniana chusta.

Skręcił na ścieżkę wiodącą na las. Tam na wzgórzu, między starymi czereśniami stał jego dom. Pięknie szalowany sośniną, czysty i dostatni. Z komina wił się długą błękitną wstęgą dym. „Mama pieką placki!" pomyślał Franek i poczuł głód.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki wieków! — odparł.

Z góry zstępowała jakaś obca, starsza kobieta, obładowana tobołami. Szła wolno, ostrożnie, bo buty miała śliskie i co chwila chwiała się, jakby miała upaść. Spod rozchełstanej pod szyją bluzki wyjrzały szkaplerze. Wyglądała na pątniczkę, pielgrzymującą do miejsc świętych.

— Daleko stąd do Żółkiewki? — zapytała, przystając.

— Będzie z milę! — odparł Franek.

— To jeszcze dobry szmat drogi!

— Do kogoż tak?

— Do chłopa, co siedzi za drutami!

— Odkąd?

— Już chyba miesiąc minął, jak wsadzili go tam niemce!

— Za co?

— Kto ich tam wi! Alboż im trzeba powodu! Podobno za kontyngent!

Poczłapała dalej.

Franek stał jak wryty. Długo patrzył za nieznajomą, wlokącą się ostatkiem sił do męża, gnijącego za drutami kolczastymi w obozie karnym w Żółkiewce. Wreszcie opuścił na piersi ciężką głowę i minąwszy ośnieżone wrota, wszedł na własne podwórze. W nozdrza załaskotał go zapach świeżego chleba.

JERZY WOLFF

O twórcy i konsumencie sztuki

Produkcja artystyczna rządzi się w pewnym stopniu tymi samymi prawami, co produkcja przemysłowa, to znaczy powstaje i rozwija się dla zaspokojenia jakiejś potrzeby. Sztuka narodziła się w zaraniu dziejów ludzkości i rodzi się wciąż w naszych oczach z potrzeby tejże sztuki, tak u samego twórcy, jak i u konsumenta (twórca jest zresztą również konsumentem własnego dzieła). Potrzeba doznań natury estetycznej czy artystycznej — jest jedną z podstawowych potrzeb duszy ludzkiej, a że tak jest, świadczy o tym obecność sztuki we wszystkich epokach, u wszystkich ludów, na wszystkich szczeblach kultury pozostających. Jeśli zdarzy się wyjątek, będzie to ów klasyczny wyjątek potwierdzający regułę.

W każdym z nas, młodszym czy starszym, siedzi potrosze „chwalca minionego czasu". W Paryżu była, a może i jest dotąd, antykwarnia „Pod dawnym, dobrym czasem". W Polsce istniało wydawnictwo starych pamiętników, głównie z epoki porozbiorowej, z ogólnym tytułem „Złote czasy i wywczasy". Nie trzeba na to zresztą wielu dowodów, wystarczy pogrzebać trochę we własnej duszy.

I w każdym artyście siedzi taki chwalca. Może nawet w większym stopniu, bo są to ludzie wrażliwi i tym samym skłonni do depresji. Znamy wszyscy złote okresy rozkwitu sztuki, znamy Grecję piątego wieku przed Chrystusem, Włochy Renesansu, Holandię wieku siedemnastego, to też w czarniejszych naszych nastrojach my, plastycy, kiedy zadajemy sobie wewnętrznie pytanie, czego dziś od nas społeczeństwo żąda, mamy skłonność odpowiedzieć — żąda od nas, byśmy przestali malować, rysować, rzeźbić. Tak mówi depresja i mówi, na szczęście, nieprawdę. Kiedy z samego dna melancholii wzniesiemy się na nieco wyższy szczebel, wtedy nasza dusza mówi nam: dzisiejsze społeczeństwo potrzebuje złego obrazu, złej rzeźby. To także jest, na szczęście, nieprawda.

Prawdą natomiast jest, że współczesność potrzebuje sztuki, tylko nie wie, czego w niej szukać, więc bierze dobrą plastykę i złą plastykę, czasem odrzuca dobrą, bo jest „trudna", a wybiera złą, bo się do niej przyzwyczaiła.

Artysta musi sobie konsumenta wychować. Cały zespół ludzi, któremu ta sprawa leży na sercu i który do tego jest powołany, winien pracować nad wykształceniem rzesz odbiorców. Takie wykształcenie czy dokształcenie, zależnie od potrzeb, umożliwi właśnie to upowszechnienie sztuki, o którym teraz głośno w Polsce.

Nie należy sobie zresztą wyobrażać, że tak będzie, ani że ta być musi, iż każdy wybitny twórca i każde wybitne dzieło znajdzie u współczesnych natychmiast zrozumienie i należne mu uznanie. Mamy w historii przykłady, że najwięksi artyści danej epoki, nieraz dla tej epoki najbardziej reprezentatywni, przemawiali raczej do potomnych. Z dwóch największych holenderskich malarzy siedemnastego wieku — pierwszy t. j. Rembrandt, stanowiący zjawisko izolowane nie tylko na tle swoich czasów (o czym będę miał okazję mówić w niedalekiej przyszłości), przeżywa po czterdziestym roku życia pewne załamanie powodzenia (co do charakteru i skali tego załamania istnieje rozbieżność zdań wśród historyków sztuki), a dzieło jego ulega względnemu zapomnieniu po śmierci artysty, który to okres trwa mniej więcej sto lat, by potem rozbłysnąć ogromnym blaskiem.

Drugi, t. j. Jan Vermeer z Delft, żyje i umiera tak dalece nieznany, że dziś, mimo ogromne zainteresowanie jego osobą, nie wiemy o życiu tego człowieka niemal nic; kilka dat, kilka szczegółów takich jak, że przyjaźnił się z doskonałym malarzem Carelem Fabritiusem, że przyjęty został do cechu malarskiego w Delft, że płacił za chleb u piekarza jakimiś własnymi pracami, to wszystko. Nie wiemy nawet czyim był uczniem. Bardzo dużo jego dzieł (dotąd znanych jest około pięćdziesiąt) „rozparcelowano" pomiędzy innych holendrów (żył równocześnie z nim malarz Jacob Vermeer, co było nieraz powodem licznych pomyłek). Ceny, jakie osiągały te autentyczne arcydzieła, były długo, bo około dwustu lat, bardzo niskie. Przy tym, że właśnie Jan Vermeer z Delft był uosobieniem „holenderskości" (pewnego jej oblicza), że jeśli siedemnastowieczne malarstwo holenderskie przyrównamy do piramidy, to Vermeerowi należeć się będzie bezspornie miejsce u jej szczytu. Rembrandta porównać można do samotnie, obok piramidy stojącego obelisku.

Vermeera, malarski sztandar jego kraju, trzeba było odkrywać w dwieście lat po śmierci, a dziś odkrywa się jeszcze wciąż jego obrazy i płaci za nie miliony.

Artysta, który nie znajduje uznania, nie przestaje produkować dlatego, że produkcja artystyczna tylko w pewnym stopniu rządzi się tymi co produkcja przemysłowa prawami. Dlatego, że produkcja artystyczna jest **twórczością** a nie **wytwórczością**, ponieważ artysta tworzy pod wpływem przymusu wewnętrznego, tworzy po to, by dusza jego żyła. Instynkt tworzenia plastycznego, powszechny u dzieci, u artysty pozostaje nietknięty nadal.

Konsument ma prawo i obowiązek żądać dobrej sztuki. A więc trzeba nie tylko kształcić konsumenta dla artysty, ale i dla konsumenta prawdziwych artystów. Szkoły artystyczne muszą więc stać na wysokim poziomie, by uczyły młodzież doskonałego opanowania rzemiosła i wyrabiały w niej moralność artystyczną.

Poza tym trzeba także z całych sił walczyć z „knociarstwem", bo oni to „knociarze", stanowią istotną zaporę pomiędzy artystą a konsumentem, oni głównie są zawalidrogami sprawy upowszechnienia sztuki. („Knociarzem" nazywam nie tylko człowieka pracującego źle w plastyce, ale w pierwszym rzędzie tych, którzy pracują nieucziwie, t. j. z samowiedzą tworzą poniżej swoich możliwości, przez lekceważenie pracy).

Nieprawdą jest, jakoby dla wyprodukowania jednego malarza z prawdziwego zdarzenia trzeba było istnienia dwustu pięćdziesięciu knociarzy. Nieprawdą jest, jakoby w Paryżu było kilku artystów wielkiej klasy, dlatego że kilkadziesiąt tysięcy artystów różnego autoramentu zamieszkiwało przed wojną francuską stolicę. Dla produkowania dobrych malarzy (przynajmniej u nas, gdzie talentów nie brak) trzeba, żeby młodzież szła na malarstwo i żeby szkoły były prawdziwie dobre.

Należy walczyć z tandetą plastyczną i tandeciarzami, a artystę godnego tej nazwy otoczyć opieką i szacunkiem. Bo nie ten jest artystą, co ma głowę do nie zawsze czystych interesów — lecz najczęściej ten niepraktyczny, bezinteresowny, chowający wstydliwie w zakamarkach swej duszy ideały piękna.

OD REDAKCJI

W następnych numerach „Zdroju" ukażą się prace następujących autorów: Wojciecha Bąka, Bohdana Kamodzińskiego, Czesława Jastrzębiec-Kozłowskiego, Jana Wiktora, dr. Józefa Grabowskiego, Jerzego Wolffa, Jana Dobraczyńskiego, Heleny Platta, Jerzego Pleśniarowicza i innych.

Redakcja „Zdroju", idąc po linii upowszechnienia kultury i sztuki, wprowadza stały dział pod nazwą „Sylwety wielkich artystów", w opracowaniu: Marii Bechczyc-Rudnickiej, prof. Mariana Morelowskiego, Wandy Żyngiel oraz J. Jedlewskiego.

Po kolumnie poezji rosyjskiej, którą w tym numerze zamieszczamy, ukażą się przekłady poezji francuskiej, czeskiej, jugosłowiańskiej, angielskiej i innych.

MARIA BECHCZYC-RUDNICKA

Przymierze muzyki ze słowem

Muzyka i poezja, ziemskie siostrzyce religii, są związane ze sobą związkiem trwałym od zarania dziejów.

Wszystkie znane historii cywilizacje posiadają rapsodów, którzy łączą w jednej osobie muzyka z poetą. Wiadomo, że poezja grecka jest poezją śpiewaną i tak też było z poezją średniowiecza, poezją bardów i trubadurów, piewców bezdomnych, wędrujących gościńcami i po bezdrożu od osiedla do osiedla, z harfą, wiolą lub lirą.

Każda elegia miłosna, pieśń o czynach bohaterskich, bądź sławiąca piękno natury, posiadała własną melodię. Wiersz i śpiew rozwijały się jednocześnie, przenikając się nawzajem. Rytm zdań, miara wierszy, akcenty poetyckie coraz więcej wpływają na kształtowanie się form wokalnych, tak dalece, że reformy w dziedzinie poezji wywołują zmiany w dziedzinie muzyki.

We Francji, bożyszcze wieku XVI, znakomity twórca Plejady, poeta Ronsard pisze na kartach swej teorii sztuki poetyckiej: „Poezja, nieozdobiona akompaniamentem instrumentów lub głosów, jest równie niepociągająca, jak gra na instrumentach, pozbawiona uroku żywego głosu ludzkiego".

Natchnieni tą myślą humaniści, jakimi byli poeci sprzymierzeni ideowo z Ronsardem, założyli w końcu stulecia „Akademię", która miała jednoczyć poezję i muzykę. Otóż ta Akademia nie była niczym innym, jak prototypem opery.

Plejada, która mówiła „po francusku greką i łaciną", szukając wzorów w starożytności, stosowała metrykę antyczną. Metryka ta przez swą jednolitość nadaje utworom polifonicznym, wypieszczonym w poprzednich stuleciach, charakter harmoniczny, wytwarzając nowy styl akompaniowanej melodii.

Zanim jednak w epoce Odrodzenia powstało to ognisko, przy którym się spotkały znowu poezja i muzyka, dawniej nie rozłączne, wybiła godzina, kiedy, osiągnąwszy pewien stopień doskonałości w ścisłej kooperacji, zaczęły one szukać samodzielnych, odrębnych dróg, jak dwie istoty znużone długim współżyciem. Poezja brata się z prozą artystyczną, muzyka wokalna dzieli się wpływem na dusze z muzyką instrumentalną, która rości pretensje do supremacji.

W europejskiej rodzinie artystycznej nastają czasy zdecydowanego rozbratu między muzyką instrumentalną a literaturą, czasy Bacha i innych zwolenników czystej muzyki.

Lecz przymierze, które tak długo łączyło muzykę z poezją, nie jest zerwane ostatecznie. Tradycyjne więzy średniowieczne zacieśniają się ponownie w romantycznym dziele Berlioza, by dalej, drogą odradzającego się wyczucia folkloru, mitu i legendy, utwierdzić pakt dwóch sztuk w programowej muzyce Gabriela Fauré, Debussy'ego, Ravela, w twórczości impresjonistów, doprowadzonej do bardzo subtelnego wyrażania uczuć i idei literackich nawet w poemacie symfonicznym.

U nas w Polsce, gdzie poezja ludowa bez melodii byłaby jak ptak bez skrzydeł, sojusz słowa artystycznego z muzyką znalazł najszczytniejszy wyraz w utworach „księcia pieśni" Stanisława Moniuszki i Karola Szymanowskiego.

Możnaby tu mówić jeszcze i o melodeklamacji — choć puryści muzyczni odmawiają jej walorów artystycznych, — o stylu deklamacyjnym w operze, stworzonym przez Wagnera, Dargomyżskiego i kompozytorów „potężnej piątki" rosyjskiej (Borodin, Musorgskij, Cui, Bałakirew, Rimskij-Korsakow), którzy w swym dążeniu do weryzmu propagowali dramat muzyczny, podkładając pod muzykę nawet prozę, jak „Jarmark Soroczyński" lub „Rewizor" Gogola.

Są to tematy zasługujące na obszerniejsze omówienie, ale długi mój wstęp ma jedynie na względzie filiację pewnej nowej idei, nawiązanie do pomysłu nowego skojarzenia muzyki ze słowem.

Byłoby nim łączenie fragmentów operowych za pomocą prozy artystycznej.

Dziś, gdy kadry artystów i pisarzy stanęły do apelu po straszliwym zalewie barbarzyństwa, znalazły się one w obliczu bezprzykładnych trudności których usunięcie wymaga gigantycznych wysiłków i dłuższego czasu. Literaci, borykając się z rozterką duchową, nie są jeszcze w stanie przetworzyć niedawnych apokaliptycznych przeżyć w kształty artystyczne, muzycy zaś natrafiają przede wszystkim na ogromne przeszkody natury materialnej.

Jednym z najważniejszych kłopotów w tej dziedzinie jest obecnie brak możliwości skompletowania dostatecznej ilości orkiestr symfonicznych z należytą ilością orkiestrantów, odpowiednio w instrumenty wyposażonych.

Nie trzeba się łudzić, jakoby miała nastąpić na tym terenie szybka zmiana na lepsze. Orkiestry symfoniczne nie kompletują się z dnia na dzień. Powstanie zatem opery w większych miastach Polski jest rzeczą przyszłości, daj Boże, oby niedalekiej, bo i utworzenie orkiestry nie rozwiązuje jeszcze całego szeregu innych zagadnień połączonych z uruchomieniem widowiska operowego.

Tymczasem nawet laik zdaje sobie doskonale sprawę ze znaczenia muzyki operowej dla akcji krzewienia kultury muzycznej w szerokich warstwach społeczeństwa. Wiadomo, że muzyka wokalna, zwłaszcza połączona z pewnym wątkiem fabułowym, ma największą wymowę dla serca i umysłu przeciętnego słuchacza. Wykorzystanie tego rysu psychologicznego do stworzenia etapu w umuzykalnieniu mas nie cierpi zwłoki.

W przewidywaniu takiej potrzeby, będąc w stałym kontakcie ze śpiewakami na terenie warszawskiej Biblioteki Operowej, gdzie pracowałam nad przekładami tekstów do muzyki wokalnej, przygotowywałam od paru lat szereg specjalnych opowieści, które mogłyby służyć jako tkanka łączna do operomontaży.

Eksperyment ten różnił się od poprzednich prób tego rodzaju, dokonywanych w Związku Radzieckim, charakterem opowiadania, które nie jest zwykłym powtarzaniem libretta, bądź komentarzem dydaktycznym, lecz sui generis nowelą, bez apostrof do słuchacza, utrzymaną w odpowiednim do opery stylu pod względem formy i języka,— wprowadzającą dodatkowe walory artystyczne spoza libretta, zaczerpnięte z różnych źródeł historycznych bądź literackich i fantazji twórczej autora, oczywiście w ramach zakreślonych utworem muzycznym.

Opowieść taka daje plastyczne tło dla wykonywanych w miarę rozwoju akcji fragmentów operowych i, utrzymując uwagę słuchacza w stałym napięciu, wytwarza nastrój.

Pomysł ten, wypróbowany przeze mnie w pewnym gronie artystów, znalazł obecnie cennego zwolennika w osobie dyrektora Państwowej Średniej Szkoły Muzycznej i Biura Koncertowego w Lublinie, znanego kompozytora Tadeusza Szeligowskiego, który skwapliwie skorzystał z nadarzającej się sposobności jednoczesnego osiągnięcia dwóch celów: popularyzacji muzyki operowej jako środka umuzykalnienia mas i wdrożenia adeptów szkół muzycznych do występów na estradzie obok artystów o pełnych kwalifikacjach zawodowych.

Mając na względzie ten podwójny pożytek, Towarzystwo Muzyczne w Lublinie wraz z Biurem Koncertowym, ogłosiło cykl tak pomyślanych operomontaży, który został już zapoczątkowany „Halką".

Dowodem tego, że inicjatywa idzie po linii potrzeb społeczeństwa, służą tłumy, które przybyły na zapowiedziane słuchowisko. Widziało się w wypełnionej po brzegi sali Instytutu Muzycznego moc ludzi nigdy przedtem na koncerty nie uczęszczających.

Życie stwarza nowe formy na użytek nowego widza. Tak powstał reportaż sceniczny, tak powstaje oto montaż operowy, spojony beletrystycznym tekstem literackim. Ale podczas gdy reportaż jest raczej niskopróbną sztuką, ilustrowana muzyką nowela, kulturalnie napisana, może ostać się jako słuchowisko artystyczne obok pełnowartościowej opery, która nie dociera do najodleglejszych zakątków kraju.

MAKS. MALINOWSKI

Od „Zarania" do „Zdroju"

(Wspomnienie)

Wybitny działacz ludowy, długoletni poseł na Sejm — Maks. Malinowski nadesłał nam garść wspomnień, zrodzonych pod wpływem lektury „Zdroju". Wspomnienia te poniżej zamieszczamy, zaznaczając, że sędziwy autor był długoletnim redaktorem pism: „Zorza" i „Zaranie".

W kiosku ulicznym Poznania obok różnych wydawnictw natrafiłem na „Zdrój". Ciekawi dziś człowieka wszystko, co tylko wychodzi z druku. Nabyłem więc ten pierwszy numer „Zdroju" i zaraz go pilnie przejrzałem. „Nowa kultura, czytam, i sztuka ma wypłynąć ze źródeł starej, samorodnej kultury ludowej". A nieco dalej: „Należy otoczyć troskliwą opieką twórczość artystyczną, ze specjalnym uwzględnieniem „Wsi tworzącej". Albo: „pragniemy, by pismo to znalazło się tak w ręku nauczyciela, działacza społecznego, politycznego, jak i kulturalnego chłopa i robotnika".

Zagadnienie to naprawdę wielkie i chlubne. Zwrócenie bowiem uwagi na „Wieś tworzącą", a zatem i na potrzebę współdziałania z nią, uważam dziś, jak zresztą zawsze uważałem, za sprawę dużej wagi.

Specjalnie zaś warto zainteresować się „Wsią tworzącą" Lubelszczyzny. Od Lubartowa począwszy, idąc przez powiat lubelski, puławski, janowski, krasnystawski, zamojski, wszędzie natrafisz na talenty pod strzechą.

Symbolem tej pięknej, żyznej ziemi jest postać Karola Namysłowskiego (o którym artykuł spotkałem w „Zdroju"). Poznałem tego niezwykłego człowieka osobiście w 1887 roku. Orkiestra jego budziła wówczas podziw. Była wyrazem zbiorowej duszy wsi. Karol Namysłowski, jak niegdyś Fr. Szopen, zżył się z pieśnią ludową. Zrósł się z nią całą swoją duszą. I dlatego, jak nikt może, czuł dogłębnie wieś, jej potrzeby i bóle.

Wiosną 1888 r. odwiedziłem Karola Namysłowskiego w Chomęciskach, dokąd zajechałem karetką wprost z Krasnegostawu.

Najpierw ojciec pana Karola, wtedy sędzia i właściciel poczty w Chomęciskach, a potem sam dyrektor orkiestry chłopskiej przyjęli mnie serdecznie. Znalazłem się u dyrektora, w izbie ozdobionej szczególnymi obrazami „chłopskiej pobożności". Na czterech ścianach od sufitu do dołu wisiało razem może sto, może więcej obrazów „świętych", a zwłaszcza Chrystusa i Matki Boskiej — wszystko to malowane przez wiejskich malarzy domorosłych, jak się kiedyś mówiło „obraźników". Były to nieraz obrazy o dziwacznym wyrazie, ale pociągające i dlatego w chacie otoczone były szacunkiem, bo „przemawiały do duszy".

Namysłowski tak był zżyty z duszą ludu, że sobie te obrazy wielce cenił, może nawet dlatego je umiłował i czuł się dobrze w ich otoczeniu.

Mnie młodego wtedy człowieka — ludowca Namysłowski wprowadził w zagadnienie tej duchowości ludu polskiego, która wymaga zrozumiałego dla siebie obrazu, mogącego czy mającego łączyć człowieka z życiem pośmiertnym. Stare te wiejskie, stwarzane wówczas głównie przez wieś obrazy, takie właśnie cechy posiadały. I Namysłowski dzięki nim do duszy chłopskiej zapewne docierał.

Zaraz w dzień mego przyjazdu obwiózł mnie Namysłowski po najbliższych sobie wsiach. Do chłopów — członków swej orkiestry. Poznałem, co to byli za ludzie.

W Wisłowcu zatrzymaliśmy się u Andrzeja Kosdrzebały, dość zamożnego gospodarza, w orkiestrze zajmującego miejsce flecisty, a jednocześnie pomocnika i zastępcy dyrektora.

Kosdrzebała był zaufanym Namysłowskiego, jak zresztą i inni członkowie orkiestry, chłopi z Chomęcisk, ze Starego Zamościa, z Wisłowca lub z odleglejszej nieco wsi Udrycze.

O członkach swej orkiestry mówił Namysłowski, jako o swoich przyjaciołach i dodawał, że lud polski w gospodarowaniu, w umiłowaniu swej narodowości — obyczajów, języka i pieśni jest uzdolniony do samodzielnej twórczości.

Członkowie orkiestry Namysłowskiego, jak wszyscy zresztą chłopi z okolicy Zamościa, szanowali Namysłowskiego, ale nie dlatego, że stworzył taką orkiestrę, lecz że był godnym największego szacunku człowiekiem. Odnosili się do niego jako do człowieka czcigodnego, lecz bynajmniej nie jak do „jaśnie wielmożnego".

Między Namysłowskim a ludem całej okolicy był stosunek braterstwa, nie zaś przewodzenia. Lud szanował w nim talent i dobrą wolę, przez którą budził w członkach orkiestry zdolność wykazywania tego, co jest wyrazem duszy ludu.

Wspomniałem, że w orkiestrze swojej Namysłowski miał muzyków swoich ze wsi Udrycze. Była ich spora garść. Udrycze wyróżniały się już wtedy. Obok wsi był folwark Zawadzkiej. Dwór ten był tajną szkołą. A szkoła ta nie tylko uczyła, ale i wychowywała.

Udrycze były wsią ludzi i gospodarzy wzorowych, nadto utkwiło w nich odczuwanie potrzeby czytania, uświadamiania się i działania społecznego. Powstał tu więc pierwszy większy sklep spożywczy, a przy sklepie tym duża izba z biblioteką dla coniedzielnych narad, w których rej wodziła miejscowa gospodyni — Bakuniakowa. Mąż jej, Bakuniak, był przez długi czas członkiem samorządu powiatowego, a żona jego miejscową działaczką społeczno-oświatową, krzewiącą na wsi potrzebę czytania i działania społecznego. Sama Bakuniakowa, Brzuchalówna z rodziców, odznaczała się nietylko uspołecznieniem, ale i zdolnościami pisarskimi. Była poetką i to naprawdę zdolną. Jeszcze będąc panną, pisywała w „Zorzy".

Bakuniakowa w lata następne uczyniła coś, na co dotąd nie zdobyła się żadna wieś polska.

Oto założyła w Udryczach redakcję pisma „Skrzat". Wyraz ten oznaczał dziewczęta w wieku 15—16 lat.

Miłe to było pisemko ten chłopski „Skrzat". Redakcja była w Udryczach. Szkoda, że na dłuższe wydawanie go pieniędzy nie starczyło. Ale dziś jeszcze numery te warto odnaleźć i przechować jako pamiątkę.

Bakuniakowa — to doprawdy poetka. Jej piękne, zawsze o głębszych myślach utwory drukowałem nieraz w „Zorzy", a potem w „Zaraniu". Jakoś przed ostatnią wojną przysłała mi cały zbiorek swoich utworów. Przeczytałem to ze szczerym przejęciem i zrozumieniem, że dorobek ten powinien być drukowany, jako najlepsze wskazanie ideowe. Starannie go też przechowałem w swej bibliotece, którą razem z mieszkaniem swoim i pięciotysięcznym zbiorem książek straciłem w ruinach zniszczonej po barbarzyńsku przez wroga Warszawy. Może jednak Bakuniakowa zdołała te swoje niedrukowane dotąd utwory przechować?

W Lubelszczyźnie całej było bardzo wielu, stosunkowo więcej niż w innych dzielnicach, wybitnie myślących chłopów. Zwłaszcza wielu było działaczy narodowo i społecznie myślących i działających. Dokładnie to opisuje poważna, o 370 bodaj stronach książka samouka chłopa, Franciszka Żurka „Powiat krasnystawski w walce o wolność". Samouk Żurek w książce swej, wydanej przez Instytut Wojskowy, podaje, jak lud tego powiatu praw swoich dochodził na drodze oświaty, uspołecznienia, wznoszenia coraz wyżej swej duchowości.

Taką to wielką drogę ewolucji przeszła wieś polska od „Zarania", budzącego w chłopie świadomość narodową i patriotyzm, do „Zdroju", idącego już ku wsi wolnej, świadomej z pochodnią, jaką jest kultura i sztuka.

ELŻBIETA KOZŁOWSKA

W swoim mieszkaniu

Najpowszechniejsza codzienność toczy się zazwyczaj w dwu miejscach: w miejscu pracy i własnym mieszkaniu. Często jako trzeci teren stały pojawia się jeszcze związek, klub, świetlica, biblioteka, bar lub kawiarnia, dokąd człowieka kieruje jego instynkt społeczny lub towarzyski, praca zawodowa, a niekiedy nałóg lub przyzwyczajenie. Wszystko inne, jak rozrywki, odwiedziny, podróże, ma już naogół charakter tylko epizodów, wstawionych w zwykły, normalny bieg życia.

Wojna pozbawiła wielu dachu nad głową, w końcu jednak każdy gdzieś znajduje jakiś przejścowy schron, legowisko, „komórkę do wynajęcia“, aż wreszcie ląduje w upragnionym własnym pokoju czy mieszkaniu. Oczywiście liczyć się należy z trudnościami okresu powojennego, skutkami długotrwałej, niszczycielskiej wojny. Propaganda kultury mieszkaniowej ma wiele u nas do zrobienia, jeśli chodzi o domy i wnętrza mieszkalne dla pracującego fizycznie i umysłowo ogółu. Spodziewać się należy, że w bliskiej przyszłości nie będą tolerowane kontrasty i dysproporcje czasów sanacyjnych, t. j. wspaniałe pałace reprezentacyjne i jednocześnie baraki na Annopolu warszawskim, że wybudowane zostaną osiedla i bloki o wygodnych, jasnych, przewiewnych mieszkaniach, z terenami zieleni i piasku dla dzieci zamiast ciemnych, ponurych podwórzy z rozwartą paszczą śmietnika.

Ilekroć wraca się do swego domu, już własna klatka schodowa owiewa klimatem swoistym, przyjaznym lub nieprzychylnym, zawsze jednak odrębnym od tego, z którego się przychodzi.

Jeśli mieszkanie jest ciemne, brudne i nieprzytulne, nuda jak pajęczyna snuje się wokoło, a z nią zniechęcenie, nieraz smutne refleksje na temat: cztery kąty i ja piąty. A jeśli nie piąty, a siódmy, ósmy lub dziewiąty, pojawia się jeszcze zgryźliwość, częste podniecenie i nie trudno wtedy o kłótnię, o awanturę z powodu... z powodu byle czego.

Mieszkanie ma swój bezwzględny wpływ na psychikę i samopoczucie człowieka i właśnie człowiek nadaje charakter mieszkaniu, odpowiednio do swoich potrzeb i wymagań, nawet niezależnie od środków materialnych, jakimi rozporządza. Na wygląd zewnętrzny mieszkania wpływa także z jednej strony tradycja, stare odziedziczone sprzęty, które siłą inercji przetrwać mogą całe pokolenia i od których czasem uwalnia tylko taka zawierucha, jaka nad nami przeszła, a prócz tradycji i wbrew niej wywiera swój wpływ moda, będąca pochodną stylu danego okresu, która, opanowując domy środowisk zamożnych, dociera spóźniona lub w szczególikach i do ubogich, skromniutkich wnętrz.

Jeśli sięgnąć pamięcią wstecz, to babcia z peryferii i babcia ze śródmieścia miały sprzęt charakterem pokrewny. Różnica była w ilości pomieszczeń, w gatunku i jakości wykonania, no i w tym, że jeśli babci zamożnej wszystko się dostawało z łatwością, babcia uboga długo musiała ciułać, oszczędzać, zanim przedmiot upragnionych marzeń zmaterializował się w postaci pluszowej kapy lub lampy z wisiorkami.

W każdym razie obie babki żyły wtłoczone pomiędzy dwie olbrzymie szafy, ogromny stół, otomanę wielką jak lokomotywa, kredens, co stanowił wielopiętrową kamienicę. Poza tym były jeszcze konsolki, etażerki, szafki i półeczki, na nich liczne drobiazgi, pamiątki z odpustów lub kuracji w Ciechocinku czy też w Marienbadzie, pluszowe pokrycia na łóżkach, pluszowa serweta na stole, pluszowe kantoniery i lambrekiny na oknach i uroczyste fotografie rodzinne w ramach także pluszowych. Było ciemno, duszno i ciasno.

W dni wielkiego sprzątania tumany kurzu unosiły się ze wszystkich pluszów, z niedostępnych zakamarków szaf i kredensu, ze wszystkich powikłanych kontuarów i spazmatycznych wykrzywień i ozdób, w jakie zaopatrzyła sufity, gzymsy piecowe i meble bezsensowna secesja, a obfite krople potu spływały z czoła zasapanej babci lub pracownicy domowej, zatrudnionej w charakterze niemal niewolnicy, gdy na wysokich drabinach operowały długometrową szczotką i miotełkami.

Po bezstylowym lecz już nieco zracjonalizowanym okresie początków XX-go stulecia nastąpił po wojnie światowej okres nowoczesności. Meble się wyprostowały, uprościły, obniżyły, stały się łatwo dostępne i dla dziecka, gdy chciało sięgnąć po jakiś przedmiot dozwolony lub zakazany, i dla gospodyni, gdy chciała mieszkanie sprzątnąć. Wtedy nastąpiła jednak plaga wpływów futurystycznych i ściany pokryły się zygzakami, figurami geometrycznymi, przecinającymi się, skaczącymi i wirującymi w oczach, które do szału doprowadzić mogły bardziej nerwowych mieszkańców; nieraz przyczyny złego humoru doszukiwać się należało nie w przypalonym czy nieudanym obiedzie, a raczej w stylizowanej, jaskrawej róży, co wyskakiwała ze swego trójkąta lub piramidy i wyrastała w zmęczonej głowie.

Jak dowodzą badania naukowe — linie, rysunek, a zwłaszcza barwy wywierać mogą działanie deprymujące lub uspakajające. Mieszkania, w których nieraz każda ściana pokoju była pomalowana na inny kolor, każda powierzchnia mebla polakierowana w sposób równie urozmaicony, sprawiały wrażenie kabaretów lub barów. Minęła i ta moda, akrobatyczne ściany się ujednostajniły i prawem kontrastu zaczęto wszystkie pomieszczenia, łącznie z kuchnią i ubikacją, malować na jeden kolor. Szkło i metal weszły w modę i mieszkania zamieniały się nieraz w sale chirurgiczne. Ponieważ były to środki kosztowne, moda ta nie wyszła poza środowisko klas uprzywilejowanych.

Przed wojną skrystalizowały się dwa kierunki. Jeden, popierany przez luksusowy przemysł, doprowadzał nieraz do absurdu fantazje meblarskie i dekoracyjne, a powiązawszy logiczne zasady mebla nowoczesnego z tradycjami stylowymi, doprowadził je do jakiejś nowoczesnej secesji. Miał jednak w dorobku, dzięki wybitnym architektom wnętrz, prawdziwe dzieła sztuki meblarskiej i dekoracyjnej. Tego typu urządzenia, indywidualnie projektowane i niezmiernie kosztowne, nie mogły mieć zastosowania w szerokich masach i dlatego ciekawszy raczej będzie drugi kierunek, wiążący nowoczesne zasady meblarstwa ze stylami ludowymi. Powstały prześliczne wnętrza, osiągnięte prostymi środkami. Nie fałszywy makassar, palisander ani tanie efekty lichych fornierów, wyglądających jak sztuczny jedwab, masowo, tandetnie wyrabianych mebli, lecz naturalny jesion, jawor, palona sosna — meble tak zwane seryjne, na użytek masowy, lecz projektowane z rozmysłem i uwagą i na przeznaczenie, na wykonanie i na wygląd estetyczny, na tle spokojnej, jasnej, pastelowej, gładkiej lub barwnej lecz niejaskrawej, wzorzystej ściany. Meble pomysłowo wyplatane rafią, taśmą, sznurem lub kryte samodziałem, kretonem, płótnem, dobranym pod kolor lub kontrastowo, gładkim — gdy ściana wzorzysta, deseniowym—gdy ściana gładka, by się dwa wzory wzajemnie nie gryzły. Ściany nie przeładowane oleodrukami lecz dyskretnie udekorowane kilimem, pasiakiem, samodziałem, barwnym obrazem lub dobrą reprodukcją czy fotografią. W oknach lekkie, powiewne firanki, względnie zasłony odpowiednie do tkaniny pokryć. Stary fotel, przyjaciel, odpowiednio kryty, inny miły sercu, dobry stary mebel — nie będą razić w nowoczesnym otoczeniu, ale bezużyteczne, niehigieniczne, zawadzające stare rupiecie należy usunąć. Rośliny ładnie, dobrze utrzymane i kwiaty, raczej w glinianym dzbanku jak w fałszywym krysztale, zawsze są wielką ozdobą. Prostota, bezpretensjonalność, harmonia barw i proporcji — oto zasadniczy schemat, a reszta to smak, upodobania i inicjatywa mieszkańca.

Gdy mieszkanie odpowiadać będzie warunkom wygody, higieny, estetyki, przytulności i oszczędności czasu, poświęcanego na utrzymywanie czystości i gospodarstwo — zostanie osiągnięty przez wielu zmęczonych wojną i pokrzywdzonych upragniony ład życia codziennego.

ZOFIA BOLESŁAWSKA

O recenzji teatralnej

Jaki cel mają recenzje i czy są potrzebne, oto pytanie, na które trzeba odpowiedzieć, by zdać sobie sprawę, jaką powinna być dobra recenzja.

Recenzje teatralne i koncertowe (obejmujące muzykę i żywe słowo) przeszły już różne fazy istnienia. Linia rozwojowa prowadzi dość konsekwentnie od oceny personalnych walorów odtwórców do szerszych, bardziej ogólnych zagadnień. Jest to zupełnie zrozumiałe, jeśli zważymy, jak teatr ze świetnej epoki wielkich talentów dramatycznych, w które obfituje wiek XIX, przechodzi stopniowo w okres pracy zespołowej, z coraz większym uwzględnieniem reżyserii oraz oprawy scenicznej. Jeśli chodzi o tę ostatnią — decydującą rolę odgrywa tu olbrzymi postęp techniki, wprowadzający scenę obrotową, bajeczne dekoracje i różne efekty inscenizacyjne, które z kolei skierowały uwagę widza na szatę zewnętrzną przedstawienia ze szkodą dla treści utworu.

Począwszy od końca ubiegłego stulecia, teatr przeżywa swój wielki okres rozkwitu. Szereg genialnych twórców sztuki teatralnej, jak Gordon Craig w Anglii, Meierhold, Stanisławskij i Tairow — w Rosji, Reinhardt w Niemczech, Szyller w Polsce, stwarza nowe podejścia, nowe formy, nowy styl gry aktorskiej. Potężna indywidualność tych teoretyków i reżyserów teatru oraz plejada ich mniej lub więcej utalentowanych naśladowców siłą rzeczy odsuwa na plan drugi sam kunszt gry aktorskiej. W ślad za tym przeobrażeniem teatru idzie recenzja, której punkt ciężkości przypada na „ujęcie“ sztuki, reżyserię i inscenizację.

Niezmiernie trudno mówić na temat zjawiska o światowej skali, wówczas gdy historia jeszcze nie ukazała go z pewnej perspektywy. Jednakże ośmielę się stwierdzić, że teatr — doszedłszy do wyżyn kunsztu zarówno aktorskiego, jak reżyserskiego — znalazł się obecnie w impasie. Doskonałość aktorska została osiągnięta. Twórcze pomysły reżyserskie po dojściu do wyżyn artyzmu na razie wyczerpały się. Moment ten zbiega się — przez cudowną logikę dziejów i zjawisk — z momentem społecznej przebudowy szeregu państw. Moment dziejowy stawia przed wielką Sztuką wymagania natury społecznej. Stąd roi się w recenzjach od zagadnień czysto repertuarowych.

Początkowo krytyka posłusznie szła za teatrem, podkreślając to, na co kładli nacisk twórcy i pracownicy teatru. Ostatnio krytyka zaczęła się usamodzielniać, raczej narzucając teatrowi pewne koncepcje, pewne sugestie społeczne.

I znowu prąd ten zbiega się z ukazaniem się nieprzeciętnych indywidualności publicystycznych. W Polsce mieliśmy ostatnio szereg wybitnych krytyków, zarówno literackich, jak i teatralnych. Boy, Kriedl, Irzykowski, Hulka-Laskowski, Chołoniecki, J. N. Miller, którzy głęboką swą analizą nadają zupełnie nowe zabarwienie recenzjom.

Poza analizą wykonania i elementów zewnętrznych mamy rozbiór samej treści widowiska i tych wartości, które może zeń zaczerpnąć widz. Stąd wynika nieraz konieczność przytoczenia fabuły, co czytelnikowi do pewnego stopnia zastępuje osobistą bytność na przedstawieniu, natomiast dla czytelnika, który wybiera się na jedno z późniejszych przedstawień, jest raczej denerwujące, gdyż odbiera czynnik niespodzianki.

Czytelnik recenzji naogół szuka w niej albo potwierdzenia wrażenia własnego, albo miarodajnego sądu o wykonaniu i wartości całokształtu przedstawienia. Im głębsza będzie analiza widowiska, omawiająca w nim elementy trwałe, nieprzemijające, tym większą korzyść odniesie czytelnik. Analiza gry jako wyrazu wszechludzkich uczuć, jako uzmysłowienie pewnego typu lub charakteru ludzkiego — pogłębi wiedzę o człowieku, o jego różnorodnej, skomplikowanej psyche, zbliży przeżycia i cierpienia obcego człowieka (choć jest nim tylko człowiek fikcyjny, sztucznie na scenie żyjący), budząc serce i umysł czytelnika.

Analiza inscenizacji powinna dać czysto estetyczne korzyści, kształcić smak i wyrabiać krytyczny pogląd na formy dekoracyjne w sztuce, a przez to — i w życiu.

Omówienie sztuki z punktu widzenia jej reżyserii uczy przede wszystkim prądów i „szkół“ reżyserskich (realizm, ekspresjonizm, symbolizm), udostępniając czytelnikowi w formie łatwo strawnej ułamek histori sztuki, rozszerza jego horyzont myślowy. Wreszcie ocena granej sztuki winna uwzględniać jej znaczenie społeczne i wartość literacką.

Tylko taka recenzja, która uwzględni przynajmniej wszystkie wymienione elementy, może być pełnowartościowa. Zdawkowe, choćby z największą swadą napisane omówienie, jak wyglądała na scenie dana aktorka, stwierdzenie, że gra danego aktora podobała się lub nie recenzentowi, gołosłowne zachwyty nad dekoracją — nie dadzą żadnej pożywki ani dla umysłu czytelnika, ani dla jego serca, ani dla jego poczucia artystycznego.

W dobrej recenzji każde słowo, każde zdanie powinno być przemyślane pod kątem widzenia: co daje czytelnikowi, co on z tego ma?

Poczucie wielkiej odpowiedzialności społecznej drukowanego słowa powinno być nieodstępną muzą recenzenta.

Głosy prasy o „Zdroju"

W miesiącu wrześniu r. b. rozpoczęliśmy wydawanie dwutygodnika poświęconego upowszechnieniu kultury i sztuki p. n. „Zdrój". Przystępując do realizacji naszych zamierzeń, mieliśmy na celu opracowanie pisma społeczno-literackiego, które by znalazło odbiorcę nie tylko w miastach, ale i w najdalej położonych wsiach i osadach, świetlicach wiejskich i szkołach. Opracowując linię ideologiczną, staraliśmy się uniknąć szablonu czasopism literackich, które wciąż jeszcze mają charakter pism elitarnych i służą nielicznej tylko grupie odbiorców. Celem naszym było omawianie w sposób jasny i zrozumiały dla wszystkich zagadnień z zakresu aktualnych problemów społecznych, literatury, muzyki, plastyki i teatru oraz wychowanie tą drogą przyszłego odbiorcy dóbr kultury i sztuki. Redagując „Zdrój", który jest pierwszym pismem w Polsce o takich założeniach, pragnęliśmy w ten sposób znaleźć oddźwięk i zrozumienie w najszerszych rzeszach społeczeństwa, a zwłaszcza na prowincji, gdzie najbardziej daje się odczuć brak pisma o podobnym charakterze. Już pierwsze numery „Zdroju" nie pozostały bez echa i wywołały żywy oddźwięk tak w prasie, jak i wśród czytelników. Zrozumienie, z jakim spotkaliśmy się ze strony odbiorców, przekonało nas o słuszności naszych założeń i dodało energii w dalszej pracy nad krzewieniem idei prawdziwego Piękna.

Poniżej cytujemy głosy, jakie ukazały się na łamach „Kuriera Codziennego", „Rzeczypospolitej", tygodnika „Wieś", „Dziennika Ludowego" i „Gazety Lubelskiej".

„Kurier Codzienny" (15. X. 1945 r.): „Dnia 1 września zaczął wychodzić dwutygodnik „Zdrój", jasno i wyraźnie służący idei upowszechnienia kultury i sztuki. Po zaznajomieniu się z treścią dwóch pierwszych numerów tego czasopisma możemy bez zdawkowych komplementów zamknąć nasze ogólne wrażenie w słowach użytych za tytuł niniejszej notatki sprawozdawczej („Lubelski Zdrój Kultury"). Uważnego czytelnika uderzać musi konsekwentne utrzymanie linii ideologicznej. Ten niewątpliwy dowód dojrzałości kierownictwa redakcyjnego zespołu pozwala wróżyć bujny rozkwit „Zdroju", który stać się może ważnym organem polskiej prasy społeczno-literackiej nie tylko dla lubelszczyzny".

„Rzeczpospolita": „W Lublinie wychodzi dwutygodnik „Zdrój". Z dwóch numerów, które dotychczas ukazały się, widoczna jest staranność zespołu redakcyjnego. Wysiłki „Zdroju" są skierowane na roztoczenie opieki kulturalnej nad prowincją, gdyż sztuka nie może się ogniskować wyłącznie w miastach, będąc przywilejem elity".

Tygodnik „Wieś": „...Rozległa skala tematów i problemów, z jakimi się spotykamy na łamach „Zdroju", świadczy, że zespół redakcyjny pragnie jak najsumienniej wywiązać się ze swoich założeń programowych. Jeżeli polityka redakcyjna pisma nadal rozwijać się będzie po lini wytyczonej pierwszym numerem, „Zdrój" będzie mógł odegrać poważną rolę w życiu kulturalnym prowincji."

„Dziennik Ludowy": ...„Treść numeru „Zdroju" starannie dobrana i podana w przystępny sposób — zupełnie usprawiedliwia nadzieje redaktorów na popularność wśród szerokich rzesz czytelniczych".

„Gazeta Lubelska": „...Staranne wydanie, dobór autorów, stojący na wysokim poziomie, a przede wszystkim twórcza idea, przyświecająca nowemu pismu i szerokie widnokręgi programowe—rokują „Zdrojowi" przodującą rolę w duchowym życiu polskiej prowincji. Przed jej zgłodniałymi żywego słowa rzeszami z dawna stała zamknięta na ciężkie wrzeciądze brama z napisem: Prowincja — co oznaczało: porzućcie wszelkie aspiracje, ci którzy tu wkraczacie. „Zdrój" pchnął żelazne zasuwy, brama otwiera się".

J. W.

K R O N I K A

LITERATURA

MIESIĘCZNIK „TWÓRCZOŚĆ"

Ukazanie się dwu numerów od dawna zapowiadanego miesięcznika „Twórczość" ożywiło znacznie ruchliwe wprawdzie, ale nie obfitujące w rewelacje nasze czasopiśmiennictwo literackie.

Obydwa numery „Twórczości", sierpniowy i wrześniowy, nie zawiodły oczekiwań, zdobywając sobie wstępnym bojem naczelne wśród czasopism stanowisko. Charakterystyczne, że z niezaprzeczonego przodownictwa miesięcznika krakowskiego zdają sobie sprawę zarówno inne pisma, gdyż poświęcają „Twórczości" życzliwe omówienia, jak i czytelnicy, bezinteresowni miłośnicy literatury, których elektryzuje doniosłość problemów poparta wysoką klasą piór.

Kolegium redakcyjne, zakładając literacko-krytyczny charakter wydawnictwa, podkreśliło jednocześnie ambicję, by współczesną literaturę ukazać na drogach historii politycznej i życia społecznego.

W słowie wstępnym do pierwszego numeru wyjaśniono, że: „zakres miesięcznika najprościej ujęty jest w jego tytule „Twórczość". Miesięcznik nasz pragnie być przede wszystkim wiernym odbiciem tych przemian duchowych i społecznych ostatnich lat, które znalazły już wyraz w dziełach pisarzy. Termin „twórczość" jest tutaj zarazem pewną wskazówkę oceny — pragniemy, by na łamach pisma znajdowały miejsce przede wszystkim utwory, które w dostępnej nam mierze są w dzisiejszej literaturze nowe, są — twórcze".

Przy sprawdzeniu, czy i jak zawartość „Twórczości" spełnia swe założenia, uderza fakt, że miesięcznik krakowski nie poprzestał na ważkich nazwiskach, lecz, co ważniejsze, nazwiska te reprezentowane są przez pozycje cenne i nowe.

Drugi numer ustępuje zdecydowanie pierwszemu, jeśli chodzi o t. zw. „pozycje zasadnicze", nie spotykamy bowiem prac tak kapitalnych, jak mistrzowską w konstrukcji i narracji „Stara cegielnia" Iwaszkiewicza, czy szkicu społecznego, o śmiałej perspektywie, którym obdarzył nas Wyka w próbie z dziedziny psychologii gospodarczej. Niemniej jednak proza Żukrowskiego i Kisielewskiego jest interesującą zapowiedzią realizmu, w obiektywnych wymiarach porządkującego notatnik wspomnień z września 1939 roku, a efektowny szkic „O laickim tragizmie" (skierowany przeciw pesymistycznemu heroizmowi Conrada) należy uznać za najlepszą z ogłoszonych prac Kotta.

Warto zastanowić się nad relacją Tadeusza Peipera „W Jakucku", gdzie inicjator ruchu awangardowego poszukiwał materiałów dotyczących pobytu zesłańców polskich na Syberii w latach popowstaniowych.

Przez połączenie elementów opowiadania, sprawozdania oraz opisu o filmowej wyrazistości i zmienności obrazów — Peiper stwarza nowy typ reportażu podróżniczego, który pasjonująco przedstawia wyniki poszukiwań badawczych, nie unikając przy tym glossatorstwa i dygresyj.

Czesław Miłosz ogłasza „poema naiwne" —„Świat"; jest to cykl drobniejszych utworów lirycznych typu refleksyjnego, w których wzruszenia filozoficzne podporządkowały się klasycznej czystości obrazów i rygorom ujmującej prostotą poetyki.

Do twórczości oryginalnej należą jeszcze: fragment p.t. „Noc listopadowa" z powieści „Tułacze" Tadeusza Hołuja i przekłady utworów zmarłego w lipcu poety francuskiego Pawła de Valéry — pióra uzdolnionego tłumacza Juliana Rogozińskiego. Nie można oprzeć się sugestii, że powieść Hołuja zrodziła się z ducha i stylu, a nawet i z tematu „Kordiana i Chama".

W dziale „Sprawy i troski" pomieszczono szkice trzech stolic: Paryża, Wiednia i Budapesztu; wyróżniają się paryskie „Szkice piórkiem" Jędrzeja Bobkowskiego. Treści numeru dopełniają sprawozdania z życia kulturalnego Krakowa (K. Wyka), Łodzi (P. Hertz) i Śląska (A. Grodzicki). Uderza brak recenzyj z bieżącej produkcji literackiej.

„Twórczość" rozmiarem i znaczeniem przypomina nieco przedwojenne warszawskie „Ateneum" z tym, że „socjologizowanie" Wyki wyparło bezkierunkowy kulturalizm S. Napierskiego. „Twórczość" tkwi w aktualnej rzeczywistości, lecz szczęśliwie unika dogmatycznych schematów, pozostawiając literaturze wiele przestrzeni i powietrza.

Wśród swarów podjazdowej publicystyki, uznanej za misję dziejową przez większość tygodników, głos „Twórczości", który odzywa się raz w miesiącu, brzmi powściągliwie ale szlachetnie i serio.

Wysoka stosunkowo cena miesięcznika (40 złotych) przekracza zdolność nabywczą wielu chętnych czytelników. Dlatego „Twórczość", wartością kulturalną sięgająca daleko poza cenę, zasługuje na polecenie raczej do bibliotek i czytelni.

J. P.

MUZYKA

RUCH KONCERTOWY

Z okazji powrotu Serca Szopena do Kościoła Ś-tego Krzyża w Warszawie Towarzystwo Muzyczne w Lublinie urządziło w dniu 17.VII r. b. jako w 96 rocznicę zgonu uroczysty koncert, na który złożyły się przemówienia okolicznościowe: Jerzego Kolasińskiego przedstawiciela Wojewódzkiego Wydziału Kultury i Sztuki, dyr. T. Szeligowskiego oraz recital fortepianowy Zbigniewa Drzewieckiego, rektora konserwatorium muzycznego w Krakowie.

Przedmówcy podkreślili ponaddziejowość muzyki szopenowskiej, która, wyprzedzając epokę, w której powstała, stała się źródłem nowoczesnych prądów muzyki XX wieku.

Zbigniew Drzewiecki wystąpił ze starannie dobranym programem, zawierającym wyłącznie utwory Szopena. Był to najlepszy koncert solowy w Lublinie od czasu odzyskania niepodległości. Drzewiecki jest pianistą wysokiej klasy, o wybitnej indywidualności odtwórczej. Jego każdy występ jest przeżyciem artystycznym, którego odbiciem jest zainteresowanie słuchaczy, niezależnie od ich umuzykalnienia i dyspozycji słuchowej. Taka sztuka sprawia, że nawet dobrze znane i niedawno słyszane utwory Szopena wydają się innymi, dając nowe wrażenia artystyczne. Do tych osiągnięć przyczynia się doskonała technika pianistyczna, rozwinięta pod każdym względem, a w szczególności: stylowe „tempo rubato", miękkie i delikatne uderzenie, silne i stanowcze forte oraz szczególnie umiejętne operowanie pedałem.

W powodzi mniej lub więcej udanych występów solowych w Lublinie rzadko mamy okazję usłyszeć koncerty na tak wysokim poziomie.

Pragniemy, aby recital Zbigniewa Drzewieckiego stał się impulsem dla zorganizowania występów dalszych wybitnych polskich wirtuozów zamiejscowych.

Jan Szorc

SIEĆ 73 SZKÓŁ MUZYCZNYCH POKRYWA JUŻ CAŁY KRAJ

Na terenie kraju uruchomiono w ciągu ostatnich miesięcy 73 szkoły muzyczne.

Wyższych szkół muzycznych jest w kraju obecnie sześć, a mianowicie: państwowa wyższa szkoła muzyczna w Warszawie i wyższa szkoła muzyczna im. Szopena w Warszawie oraz państwowe wyższe szkoły muzyczne w Krakowie, Łodzi, Poznaniu, Katowicach oraz w organizacji w Lublinie.

Średnich i niższych szkół muzycznych najwięcej posiada Kraków, bo aż siedem, następnie Warszawa — 5, potem Łódź — 4, Poznań — 3, Lublin — 3, Katowice — 2, Kielce — 2, ponadto istnieją jeszcze średnia i niższa szkoły muzyczne w Gdańsku z oddziałami w Sopocie, Oliwie i Wrzeszczu.

Wreszcie po jednej szkole muzycznej posiadają następujące miasta: Białystok, Bytom, Bydgoszcz, Będzin, Bielsko, Częstochowa, Cieszyn, Chorzów, Chełm, Gliwice, Gdynia, Gniezno, Grudziądz, Jarosław, Kalisz, Miechów, Milanówek, Nisko, Nowy Targ, Olsztyn, Pabianice, Płock, Piotrków, Przeworsk, Radom, Rzeszów, Ruda Pabianicka, Skierniewice, Sopot, Sanok, Suwałki, Siedlce, Tarnobrzeg, Toruń, Wałbrzych, Żyrardów, Zabrze i Zamość.

W Łowiczu, Łukowie i Sieradzu istnieją szkoły umuzykalnienia.

PŁYTY GRAMOFONOWE FABRYKUJE MIN. KULTURY I SZTUKI

Min. Kultury i Sztuki przejęło pod swój zarząd Polskie Zakłady Fonograficzne (Odeon). Po dokonaniu częściowego chociażby remontu zakładów, które uległy zniszczeniu w czasie wojny, rozpoczęta zostanie fabrykacja płyt.

Przede wszystkim będą nagrywane płyty z matryc nagranych przed wojną, następnie zaś z własnych nagrań. Pierwsze płyty wykonane przez Zakłady ukażą się ok. nowego roku.

Dwutygodnik „Ruch Muzyczny" pod redakcją St. Kisielewskiego, nakładem Pol. Wydawnictwa Muzycznego (Kraków. Basztowa 13 m. 6) — rozpoczął swą działalność jako pierwsze fachowe pismo muzyczne w odrodzonym Państwie. Na I-szy numer z datą 1 października 1945 składa się szereg cennych artykułów muzycznych i obszerna bardzo kronika, ilustrująca życie muzyczne podczas okupacji i obecnie. Pożytecznemu a tak długo oczekiwanemu wydawnictwu, podkreślającemu w artykule wstępnym, że „polska sztuka choć oparta na ogólno światowych zdobyczach w dziedzinie środków wyrazu i techniki jest sztuką narodową, celem jej jest ugruntowanie wolności, niezależności i odrębności Narodu w dziedzinie ducha, wypowiedzenie jego indywidualności" — życzymy najserdeczniej pięknego rozwoju i wypełnienia swych wzniosłych zadań z pożytkiem dla naszej demokratycznej Ojczyzny.

PLASTYKA

W najbliższym czasie zostanie otwarta w Lublinie jesienna wystawa plastyków lubelskich. Po raz pierwszy wystąpi na tej wystawie grupa „Plastyka".

Związek Zawodowy Artystów Plastyków w Lublinie powołał Komitet uczczenia pamięci niedawno zmarłego artysty - malarza i architekta J. Kelles-Krauze. Komitet przygotowuje pośmiertną wystawę artysty.

TEATR

TEATR DLA MAS
Min. Kultury i Sztuki chce przybliżyć scenę ludziom pracy.

Ministerstwo Kultury i Sztuki zwołało do Warszawy na dzień 23 października zebranie dyrektorów teatrów z całego kraju z udziałem przedstawicieli Centralnej Komisji Związków Zawodowych i zainteresowanych ministerstw.

Na zebraniu tym była omawiana przede wszystkim sprawa udostępnienia teatrów szerokim masom robotniczym.

Jest to zaczątek szeroko zakrojonej akcji upowszechnienia kultury i sztuki wśród ludzi pracy, którym tych darów dotychczas odmawiano, nie znajdując sposobów, które by pozwoliły zwykłym śmiertelnikom zaznawać rozkoszy artystycznych i kształtować światopogląd kulturalny.

◆

TEATR W OLSZTYNIE

Czynne są prace w kierunku otwarcia stałego teatru w Olsztynie. Piękny gmach Teatru Miejskiego został już wyremontowany i obecnie odbywają się w nim koncerty, przedstawienia teatralne i inne imprezy artystyczne. Dyrekcję teatru objął Stanisław Wolicki. Dyrektorem administracyjnym został płk. Kwiatkowski. Obecnie rozpoczęto próby sztuki „Uciekła mi przepióreczka". M. in. udział w przedstawieniu weźmie Juliusz Osterwa.

◆

NA SCENACH KRAKOWA
sezon teatralny jest w pełni

Sezon teatralny w Krakowie trwa w całej pełni. Teatr Słowackiego wystawił w ubiegłym miesiącu (po „Antygonie" Sofoklesa) „Pannę Maliczewską" G. Zapolskiej.

Stary teatr występuje z premierą sztuki francuskiego pisarza Peyret - Chapuis p. t. „Nieboszczyk pan Pis" z Marią Dulębianką w roli głównej, w reżyserii J. Warneckiego, z dekoracjami Andrzeja Pronaszki.

Wielkim powodzeniem cieszy się „Lato w Nohant" I. Iwaszkiewicza w Teatrze Kameralnym TUR.

Karol Adwentowicz otwiera nowy teatr w Krakowie pod nazwą „Teatr Powszechny im. Żołnierza Polskiego", wystawiając słynną sztukę M. Maeterlincka „Burmistrz Stylmondu", w której sam gra główną rolę.

Teatr Lalki i Aktora „Groteska" wystawił ostatnio barwne i nowoczesne widowisko kukiełkowe „Szewc Dratewka" pióra H. Jaremy z muzyką J. Maklakiewicza i wreszcie Teatr Kolejarza gra przy stale wypełnionej widowni popularny wodewil krakowski „Królowa przedmieścia" K. Krumłowskiego.

◆

LWOWSKI „TEATR POLSKI" w Katowicach

W ub. mies. do Katowic przyjechał zespół lwowskiego Teatru Polskiego pod dyrekcją Br. Dąbrowskiego, który w sezonie zimowym 1945—1946 pracować będzie na terenie Śląska. Przyjazd doskonałego zespołu lwowskiego, w skład którego wchodzą m. in. Bardini Aleksander, Bogusławski Marian, Brochowicz Władysław, Hierowski Roman, Kondrat Tadeusz, Michowska Stefania, Suchecka Teresa, Surowa Tadeusz, Szymański Alfred, Tomaszewska Irena, Woźniak Tadeusz, wywołał na Śląsku zrozumiałe zainteresowanie.

Inauguracyjne przedstawienie, na którym wystawiono „Wesele", odbyło się w sobotę dnia 6 października. Sztukę tę były zespół Teatru Lwowskiego wystawiał ostatnio we Lwowie, dając przeszło 30 przedstawień w tej samej obsadzie. O wystawieniu „Wesela" cała prasa lwowska wyrażała się najpochlebniej. Entuzjastycznie oceniała również grę zespołu prasa kijowska i moskiewska. Zespół dyr. Dąbrowskiego zamierza na scenie katowickiej powtórzyć szereg sztuk, odegranych z wielkim powodzeniem we Lwowie. W ślad za „Weselem" pójdzie więc w nowym opracowaniu komedia muzyczna Montgommerego p. t. „Cały dzień bez kłamstwa", „Burmistrz Stylmondu" Maetterlincka oraz jedna z wiecznie aktualnych komedii Zapolskiej. W programie na sezon bieżący przewidziane są również sztuki współczesnych autorów radzieckich.

Dyrektor Dąbrowski opracowuje projekt programu stałych przedstawień teatralnych dla szerokich rzesz robotniczych na terenie zakładów pracy. Teatr katowicki będzie więc wreszcie prawdziwym teatrem dla mas, czego od kilku miesięcy daremnie oczekuje klasa robotnicza największego w Polsce ośrodka przemysłowego.

BIBLIOGRAFIA

STALIN J. O MATERIALIŹMIE DIALEKTYCZNYM I HISTORYCZNYM (wrzesień 1938). Lublin, 1945. Wydawn. Książka. Str. 47.

STALIN J. O PODSTAWACH LENINIZMU. Wykłady wygłoszone na Uniwersytecie swierdłowskim w kwietniu 1924. Lublin, 1944. Wydawnictwo Książka. Str. 76.

POLSKI KOMITET WYZWOLENIA NARODOWEGO W ŚWIETLE DOKUMENTÓW. Lublin, sierpień 1944. Wydział Informacji i Propagandy PKWN. Str. 16.

PROTOKÓŁ STENOGRAFICZNY PLENARNEGO POSIEDZENIA KRN, które odbyło się w dniach 31. XII. 1944 r. oraz 2-go i 3-go I. 1945 r. Lublin, 1945. Wydawnictwo „Czytelnika". Str. 179.

DEKLARACJA. Lublin 1944. Stronnictwo Demokratyczne, str. 14.

KONOPKA W. W SPRAWIE SOJUSZU ROBOTNICZO — CHŁOPSKIEGO. Lublin, 1945. Sztandar Ludu. Str. 30.

MODLITEWNIK ŻOŁNIERSKI. KURIA BISKUPIA W LUBLINIE. Lublin, 1945. S. 30.

O POWSTANIU WARSZAWSKIM. MINISTERSTWO INFORMACJI I PROPAGANDY. Lublin, 1945.

ROGALSKI M. NASZ STOSUNEK OBECNY I NA PRZYSZŁOŚĆ DO NIEMCÓW Praca nagrodzona I-ą nagrodą na konkursie PKWN. Lublin, 1944. Resort Propagandy i Informacji PKWN. Str. 10.

PASTERNAK L. PIOSENKI ŻOŁNIERSKIE 1940 — 1944. Z funduszów Resortu Kultury i Sztuki. Str. 64.

PRZYBOŚ J. PÓKI MY ŻYJEMY (wiersze). Lublin, 1944. Związek Zawodowy Literatów Polskich. Str. 36.

PUTRAMENT J. WOJNA I WIOSNA (Wiersze). Lublin, 1944. Związek Zawodowy Literatów Polskich. Str. 29.

HUSZCZA J. PAMIĘTNIK LIRYCZNY. Wiersze. Lublin. 1945. Związek Zawodowy Literatów Polskich. Str. 25.

JASTRUŃ M. GODZINA STRZEŻONA Wiersze. Lublin, 1944. Związek Zawodowy Literatów Polskich. Str. 30.

SPYCHAŁA WŁ. PRZEPISY DROGOWE DLA KIEROWCÓW POJAZDÓW MECHANICZNYCH. Opracował autor. Lublin, 1945. Zw. Zaw. Kierowców i Pracowników Samochodowych w Polsce. Str. 106 + II. 44 + tabl. kol. 5.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

K. W. w Lublinie. — Nie zamieścimy.

A. Ł. w Radomiu. — Wiersz nie pójdzie. Jeszcze za surowy.

W. K. w Krasieninie. — Najlepszy z wierszy: „Jesienny wiatr". Pracujcie dalej.

S. P. w Krakowie. — Za nowe materiały dziękujemy, pójdą w najbliższych numerach.

I. G. w Łowiczu. — Wysyłamy list.

M. K. w Kościanie Wlkp. — Tymczasem nie zamieścimy.

C. D. w Toruniu. — Część wydrukujemy.

Quisinana. — Prosimy o podanie nazwiska i adresu.

A. Kot. — Utworów drukowanych poprzednio — nie zamieszczamy.

J. D. Warszawa. — Damy odpowiedź listem.

Z. D. w Wasilkowie. — Nie do druku.

T. W. w Lublinie. — Dziękujemy za piękny list. „Warszawy" nie wydrukujemy.

SPIS TREŚCI:

G. K. Chesterton — Prawda o Polsce.
Stan. Pagaczewski — Manifest.
Kolumna liryki rosyjskiej.
Serce Szopena — Przemówienie Premiera Osóbki-Morawskiego.
Jerzy Kolasiński — Kres krwi naszej.
Jan Nagrabiecki — Pamięci żołnierza.
Józef Nikodem Kłosowski — Wygnańcy Ewy.
Jerzy Wolff — O twórcy i konsumencie sztuki.
Maria Bechczyc-Rudnicka — Przymierze muzyki ze słowem.
Maks. Malinowski — Od „Zarania" do „Zdroju".
Elżbieta Kozłowska — W swoim mieszkaniu.
Kronika.
Bibliografia.
Odpowiedzi.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA: Lublin, Peowiaków 5 m. 13; tel. 30-45.

Redakcja przyjmuje poniedziałki, środy i piątki od godz. 14 do 15.

Administracja czynna codzienne od godz. 9—12 i 16—18.

Rękopisów nie zamówionych nie zwraca się.

Cena numeru dwutygodnika „Zdrój" 5 zł. Prenumerata kwart. wraz z opłatą pocztową 36 zł.

Redaguje: Zespół. Wydaje w imieniu zespołu: FRANCISZEK TWARDOŃ.

Zakł. Graf. J. Pietrzykowski, Lublin, Kościuszki 4 A 3884